

Cheryl Reavis

Zostań moją mamą

Rozdział 1

Szeptanie.

Ktoś szeptał – i nie był to sen. Okno w sypialni było lekko uchylone i Jessica Markham wyraźnie słyszała dochodzący z zewnątrz głos. Choć nie potrafiła rozróżnić poszczególnych słów, wiedziała, że to ludzki głos. Nie szum wiatru, odgłos przejeżdżającego samochodu czy cokolwiek innego.

Otworzyła oczy, szept ustał. Usiadła i zerknęła na zegarek. Była szósta trzydzieści rano. Kto mógł być na werandzie jej domu o tej porze?

Wstała z łóżka i, uważnie nasłuchując, bosą ruszyła długim korytarzem do drzwi wejściowych. Żałowała, że nie ma przy sobie broni, którą, zdaniem jej kolegów z banku, powinna posiadać każda mieszkająca samotnie kobieta. W dużym mieście wydawało się jej to oczywiste, ale przecież nie tu, w Silk Hope, małej miejscinie na skrzyżowaniu dwóch dróg, na płaskowyżu Piedmont w Północnej Karolinie. Wszelkie przestępstwa były tu bardzo rzadkie i głównie ten fakt nakłonił ją do powrotu. To chyba ironia losu, pomyślała. Póki mieszkała w dużym mieście, stale trzymała w zasięgu ręki mały, automatyczny pistolet i nigdy nie musiała z niego korzystać. Teraz, gdy wróciła do domu i czuła się na tyle bezpieczna, by go sprzedać, ktoś kręcił się w pobliżu.

Było już niemal widno. Od starego, zniszczonego parkietu w przedpokoju bił nieprzyjemny chłód. Widziała, jak w dużym staroświeckim salonie wiatr wybrzusza koronkową firankę. Ubiegłej nocy było tak parno i gorąco, że postanowiła zostawić uchylone okna. Teraz jednak, nad ranem, najchętniej rozpaliby w kominku. Jej matka nazywała taką pogodę „jeżynową zimą”. To właśnie w porze kwitnienia jeżyn, w maju, często zdarzały się takie gwałtowne ochłodzenia.

Zastanawiała się, jak zimno mogło być tej nocy. Czy na tyle, by zaszkodzić brzoskwiniom? Szybko odsunęła od siebie tę myśl. Nie było już powodu, dla którego miałyby interesować się brzoskwiniami.

Podeszła do drzwi wejściowych i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Nie mogła niczego dostrzec. Może był to jednak tylko sen? Przez kilka chwil nasłuchiwała, po czym ostrożnie otworzyła wypaczone, skrzypiące drzwi. Nie miała najmniejszego zamiaru spędzić reszty poranka niepokojąc się z powodu czegoś, co być może tylko jej się przyśniło. Drugie drzwi były tylko przymknięte, więc szybko przekreśliła zasuwkę, zanim przez siatkę dokładnie zlustrowała werandę.

Pusto.

Spojrzała w dół. Tuż przy drzwiach migotał w podmuchach chłodnego wiatru płomień małej, białej świecy. Po chwili dostrzegła drugą świeczkę, tuż obok czegoś, co wyglądało na małą kupkę liści, orzechów i jakichś długich patyków. Baczenie popatrzyła na duży dziedziniec przed domem i na kępę krzewów rosnących między domem a drogą. Również tam nie zaobserwowała najmniejszego ruchu. Z bijącym sercem szybko zamknęła drzwi.

Kto robił jej coś takiego? Nie miała żadnych wrogów. Odebrała wychowanie typowe dla mieszkańców Południa: okazywała szacunek starszym, była miła dla małych dzieci i zwierząt. Zresztą mieszkała tu za krótko, by zdążyć kogokolwiek obrazić.

Przymknęła oczy i gorączkowo zastanawiała się, co robić. Potrzebowała czyjejś pomocy, a jedyną osobą, która przychodziła jej do głowy, był Jacob. Tyle, że właśnie jego nie mogła poprosić o pomoc. A raczej nie chciała. Gwałtowne zerwanie ich ledwie pączkującego romansu nastąpiło cztery miesiące temu, i to wyłącznie z jego winy. Do tej pory nie wiedziała, co było tego przyczyną. Coś, co powiedziała? Jakaś niemiła cecha charakteru, którą nieopatrznie przed nim odkryła? Wyglądało na to, że się polubili. W każdym razie ona bardzo go polubiła, tak jak i jego syna, Thomasa. Aż tu nagle, z minuty na minutę, została sama, nie znając nawet wytłumaczenia takiej sytuacji. Ostatnie słowa, jakie od niego usłyszała, to „zadzwoń do ciebie”. Ze swoim doświadczeniem powinna wiedzieć, że była to jedynie zdawkowa formułka rzucona na pożegnanie. Pusty gest ze strony mężczyzny, który pragnie jak najszybciej uwolnić się od krepującego go związku. Była na tyle głupia, że początkowo uwierzyła mu i gdy przez kilka dni nie dzwonił, odezwała się pierwsza. Wciąż jeszcze skręcała się na wspomnienie tej rozmowy. Jacob był niezwykle chłodny i potraktował ją z dystansem. Dopiero wtedy dotarło do niej, że została wystawiona do wiatru.

Problem polegał jedynie na tym, że bardzo za nim tęskniła. Brakowało jej wspólnych zimowych spacerów po sadach, które pielęgnował co roku z takim poświęceniem. Brakowało jej dyskusji o uprawie brzoskwiń i problemach związanych z wychowywaniem jego dorastającego syna. Zresztą zarówno o jednym, jak i o drugim miała jedynie mgliste pojecie. Brakowało jej wzajemnych przekomarzań, które czyniły flirt tak interesującym. I pocałunków. A raczej tego jedyne, jakim ją obdarzył podczas ich ostatniego spotkania. Wciąż miała w pamięci tamtą gwiazdzistą, styczniową, zimną noc, żar jego ciała i rąk. Wciąż czuła słodycz ust Jacoba i zapach jego skóry.

Kogo chcę oszukać? – spytała sama siebie.

Próbowała zapomnieć o przeszłości, usunąć ją na bok... Na próżno. Minęło osiemnaście lat, odkąd wyjechała z Silk Hope. Uczyła się w college'u „na Północy”, jak określiłaby to miejscowa społeczność. Po ukończeniu szkoły nie wróciła już do domu. Dostała dobrą pracę. Spotykała mnóstwo interesujących ludzi, również mężczyzn, z których kilku było jej kochankami. Żadnego z nich nie zdecydowała się jednak poślubić. Zajmowała się sprzedażą papierów wartościowych i udziałów w nieruchomościach. Osiągnęła taki etap w życiu, w którym nie liczyła już na zamążpójście. Nie spodziewała się zresztą, iż kiedykolwiek powróci w rodzinne strony. Dopiero kiedy jej brat – podróżnik – zaczął przebąkiwać o sprzedaży ich rodzinnego domu, gdyż miał kłopoty z jego wynajmowaniem, poczuła, że nie chce odcinać się od swych korzeni.

Miała dosyć świata finansów, rządzącego się własnymi, bezwzględными prawami, i życia z bronią pod poduszką. Świadomość, że gdzieś tam, w Silk Hope, czeka na nią rodzinne gniazdo, w którym dorastała, marzyła i budowała plany na przyszłość, dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

Zmęczona i wewnętrznie wypalona, zdecydowała się kupić stary dom, położony wśród mirtu i pekanowych drzew. Wróciła w rodzinne strony i – o dziwo – była z tego bardzo zadowolona. Podjęła spokojną pracę jako doradca do spraw inwestycji kapitałowych banku w pobliskim Siler City i tam też poznała Jacoba Brennera.

Był jednym z klientów banku, ale też wyjątkowym – hodowcą brzoskwiń. Mimo że przez te wszystkie lata z dala od domu nie brak jej było kontaktów z mężczyznami, w tym z tak zwanymi ludźmi sukcesu, nigdy nie odczuwała wobec żadnego z nich tego, co czuła wobec Jacoba Brennera. Uśmiechnęła się do siebie. Jacob i jego brzoskwinie. Wszyscy w Silk Hope i okolicy wiedzieli, że prawdziwe pieniądze leżą w hodowli drobiu. On zupełnie o to nie dbał, nie znosił kurczaków. Kochał natomiast widok kwitnącego wiosną sadu owocowego i dorodnych, dojrzałych owoców w lipcu i sierpniu.

– Jake, zajmując się brzoskwiniami nigdy nie dojdiesz do pieniędzy – przypominał mu za każdym razem jeden ze starszych mężczyzn przesiadujących w jedynym sklepie miasteczka.

– Tak – odpowiadał mu Jake z lekkim uśmiechem. – Ale za to jak pięknie pachną.

Jego nagła rejterada bardzo ją zabolęła. Nadal boleła, ale teraz miała coś pilniejszego na głowie. Zdecydowanym krokiem ruszyła w głąb domu i podniosła

słuchawkę telefonu.

– Gdzie to jest? – rzucił zastępca szeryfa, zanim zdążyła spytać go o nazwisko. Liczyła na to, że przyjedzie Sonny Cook, z którym chodziła do szkoły średniej. Miała wtedy opinię osoby poważnej i zrównoważonej. Sonny z pewnością nie podejrzewałby, iż zwariowała wzywając na pomoc policję. Nie знаła mężczyzny, którego przysłał szeryf. Był bardzo młody i bardzo rzeczowy. Pewnie myślał, że robiła wiele hałasu o nic, wciąż bacznie się jej przyglądał. Zastanawiała się, co przydałoby jej w jego oczach więcej wiarygodności: oznaki hysterii czy właśnie ich brak.

– Od frontu, na werandzie. Przykro mi, że zepsułam panu niedzielne przedpołudnie – stwierdziła idąc przodem.

– Cóż, taka praca. O której pani to odkryła?

– Około szóstej trzydzieści rano.

– Czy zazwyczaj wstaje pani tak wcześnie?

– Nie. A raczej tak, ale w tylko ciągu tygodnia. Obudziły mnie jakieś szepty.

– Nie skomentował tego.

– Widzi pan – powiedziała, wskazując świeczki i kupkę liści na werandzie.

– Dotykała pani czegoś?

– Zgasiałam tylko świece.

– Prawdopodobnie to jakiś głupi kawał miejscowych dzieciaków – stwierdził pochylając się nad znaleźnikiem.

– Ale to już nie pierwszy raz. To znaczy coś takiego pierwszy, ale kiedyś już...

– Mężczyzna podniósł jeden z liści i powąchał go.

– Dzieciaki oglądają za dużo filmów i... – nagle urwał. – Wezmę to – powiedział, wyjmując z tylnej kieszeni spodni plastikową torebkę.

– Co to takiego?

– Nie jestem pewien. Te patyczki to jakiś rodzaj kadzidła, jak sądzę. Mówiła pani, że to nie pierwszy raz? – Nie patrzył na nią, a rzucone od niechcienia pytanie zirytowało ją nieco.

– Tak, w dzień świętego Walentego znalazłam bambusową tyczkę.

– W świętego Walentego?

– Tak. Świętego Walentego. Czternastego lutego – podkreśliła, gdyż wydawało jej się, iż wyczuwa w jego głosie niedowierzanie.

– Wiem, kiedy to jest. I co z tą tyczką?

– To był po prostu... kawał bambusa. Długi, podobny do wędki. Zatknięty na tyłach domu. Przyczepiono do niego dzwoneczki.

– Dzwoneczki?

– Tak, dzwoneczki – odparła zła, że wciąż po niej powtarza. Czowała jego rosnące niedowierzanie. – Małe, – okrągłe, mosiężne dzwoneczki. Tuzin albo i więcej. A także wianuszek nawleczonych na nitkę kolców i coś w rodzaju małych, glinianych figurek.

– Jakiego rodzaju?

– Przypominających z grubsza człowieka. Z rękami i nogami.

– Dlaczego już wtedy pani nas nie powiadomiła?

– Bo myślałam wtedy to, co pan w tej chwili, że to jakiś dowcip dzieciarni. Może jakaś dziecięca wędka z dziwacznym oprzyrządowaniem?

– Tkwiąca na pani podwórku za domem?

– W pobliżu jest mały staw. Pomyślałam, że może wiedzie tędy jakaś droga na skróty czy coś w tym rodzaju, i że ktoś z jakiegoś powodu zostawił tu swoje rzeczy. W każdym razie tak mi się wtedy, w lutym, wydawało. Dzieci miewają dziwne pomysły, nawet jeśli nie oglądają telewizji.

– Zachowała to pani?

– Nie. Zostawiłam wszystko na podwórzu, aż pewnego ranka zniknęło.

Zastępca szeryfa wstał.

– Wrócimy jeszcze do tej rozmowy. A tymczasem proszę zamykać wszystkie drzwi – powiedział, idąc do swego samochodu. – A nie odtrąciła pani ostatnio jakiegoś adoratora? – spytał nagle.

– Nie – odpowiedziała spokojnie, żałując z całego serca, iż skorzystała ze swych praw podatnika i wezwała na pomoc biuro szeryfa. – Domyślam się, że nikt wam czegoś podobnego nie zgłaszał?

– Nie – odparł wsiadając do samochodu. – Tylko pani.

–

Rozdział 2

Jacob Brenner siedział na schodach na tyłach swego domu i patrzył tępo przed siebie. Nie spał całą noc z obawy przed przymrozkiem. Z niewyspania piekły go oczy i bolała głowa, lecz mógł myśleć jedynie o Jessice Markham. Nie o stratach, jakie poniesie, jeśli przemarzną drzewka owocowe. Nie o pieniądzach, które pożyczył, a których część musiał wydać w ciągu ostatnich czterech miesięcy, by ratować honor i rodzinę. Tylko o niej. Była jedyną kobietą, z którą chciał rozmawiać, śmiać się, kochać. Doskonale wiedział, że nie mieli ze sobą wiele wspólnego. On z uporem maniaka trzymał się uprawy brzoskwiń, choć odpowiedni do tego region leżał sześćdziesiąt mil na południe. Ale te drzewa były jego życiem i tylko nimi pragnął się zajmować. Nie miał pojęcia o papierach wartościowych i zupełnie nie orientował się w zagadnieniach związanych z handlem nieruchomościami. Jessica z kolei nic nie wiedziała o tym, jak trudno jest o dobre plony brzoskwiń. W niczym im to jednak nie przeszkadzało. Nieważne było, że on nosi czapkę baseballową, pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie może doczyścić paznokci, a ona chodzi do pracy w klasycznym eleganckim kostiumie i z aktówką pod pachą.

Gdy po raz pierwszy ujrzał Jessikę Markham, patrzyła mu prosto w oczy i jej widok zapierał dech w piersiach. A wydawałoby się, że przyzwyczał się już do życia w samotności. Miał trzydzieści osiem lat i był jak mało kto powściągliwy w zawieraniu znajomości. W jego życiu nie zdarzyło się dotąd nic, co pozwoliłoby mu uwierzyć w moc miłości: tej od pierwszego wejrzenia czy jakiegokolwiek innej. Ożenił się w wieku dziewiętnastu lat, a rozwiódł, gdy miał dwadzieścia cztery. Rozwód nastąpił wyłącznie z jego winy.

Trzy z pięciu lat swego małżeństwa spędził w Trzecim Oddziale Piechoty Morskiej w Wietnamie, starając się usilnie pozostać przy życiu i zdrowych zmysłach. Próbował też, na odległość, ratować swoje małżeństwo. Udało mu się tylko jedno. Wrócił zdrowy na ciele, ale na tym skończyło się jego szczęście. Powrócił do swej młodej żony pogrążony w milczeniu i rozterkach. Był w takim dołku psychicznym, że nie potrafił mówić, śmiać się czy odczuwać cokolwiek. Było to więcej, niż ich nadszarpnięty związek mógł udźwignąć.

Kiedyś myślał, że umrze, jeśli żona go opuści. Ale gdy odeszła, poczuł tylko ogromną ulgę. Wciąż dobrze pamiętał ówczesny stan swojego ducha. Wypełniała go ogromna, wszechogarniająca pustka... i równie wielkie poczucie winy. Musiał

jednak żyć z tymi uczuciami, zasłużył na nie i dlatego pozwalał, by go zżerały. Nie miał nikomu nic do zaoferowania i niczego też nie oczekiwał. Otrząśnięcie się z takiego stanu zabrało mu dużo czasu, jeśli w ogóle się udało.

Zanim poznał Jessikę, jedynym prawdziwym dobrem w jego życiu był syn, Thomas, dziecko dwojga nieszczęśliwych ludzi, którzy zbyt młodo się pobrali. Jakimś szczęśliwym trafem nie wpłynęło to zbyt niekorzystnie na chłopca, który pozostał miły i pogodny. Mieszkał z Jacobem, odkąd skończył dziesięć lat. Jako szesnastolatek pracował na plantacji brzoskwiń jak każdy dorosły mężczyzna. Dopiero cztery miesiące temu, gdy nadszedł list z Amerykańskiej Fundacji Weteranów Wojny w Wietnamie, miał się przekonać, że jego ojciec jest również tylko człowiekiem.

Jacob mógł zwalić winę na list, iż przyczynił się do ochłodzenia jego stosunków z synem. Nie miał on jednak nic wspólnego z powodami, dla których zerwał z Jessiką. Po prostu wpadł w panikę odkrywając nagle, jakie uczucia w nim wzbudza. Bał się, by znów nie powtórzyło się to samo. Bał się wszelkiego silniejszego zaangażowania. Był przy tym na tyle zamknięty w sobie, że potrafił jedynie przyglądać się, jak umiera jego miłość. Poza tym miał teraz na głowie mnóstwo kłopotów rodzinnych, którym musiał stawić czoło. Próbował sobie wmówić, iż nie powinien być nigdy wiązać się z Jessiką, a obecna sytuacja zdawała się to potwierdzać. Nie potrafił jednak całkowicie wymazać jej z pamięci.

Myślał o niej bezustannie – gdy zasypiał, kiedy się budził i przez cały długi dzień. Wspominał wciąż ten jeden jedyny pocałunek. Pamiętał jej zapach, sposób, w jaki do niego przylgnęła całym ciałem, smak jej ust. Było mu jej brak i nic nie potrafił na to poradzić.

Westchnął ciężko przypominając sobie, jak przygadywał mu Thomas, gdy obydwaj poznali Jessikę w banku. Owego dnia nieobecny był urzędnik udzielający pożyczek i Jessica go zastępowała. Pamiętał nawet, jak była wtedy ubrana – miała na sobie granatowy kosztowny kostium i białą, jedwabną bluzkę. W kłapie marynarki tkwiła złota szpilka w kształcie róży, a ciemne, zaczesane do tyłu włosy spięte były na wysokości karku czymś w rodzaju złotej klamry. Wyglądała tak poważnie i tak pięknie, że modlił się, by nie zauważyła głupich min i gestów, jakich nie szczędził mu stojący obok Thomas.

Mimo to spędził w banku więcej czasu niż pierwotnie zamierzał. Zadawał jej mnóstwo pytań, które nie miały nic wspólnego z uprawą brzoskwiń czy pożyczkami bankowymi. Były to ogromnie niedyskretne pytania, jakich, odkąd wyrósł z krótkich spodenek, nigdy nie zadawał żadnej kobiecie.

– Wpadła ci w oko, co, tato? – spytał Thomas, gdy tylko wyszli z banku. Mijająca ich właśnie starsza kobieta aż przystanęła ze zdziwienia.

– No powiedz, mam rację? – naciskał chłopiec. Przytrzymując kobiecie drzwi, trącił ojca zartobliwie pięścią w ramię. Z jego twarzy nie schodził przebiegły uśmieszek.

– Przestań wreszcie! – warknął Jacob, gdyż w drodze na parking jego syn wciąż rechotał i próbował go poszturchiwać. – Wcale mi nie wpadła w oko.

– O kim mówisz? – spytał przebiegle Thomas, wiedząc już, iż ojciec właśnie wpadł w sidła, które tak sprytnie na niego zastawił.

– Wiesz doskonale. O pannie Jessice z banku.

– Daj spokój, tato! Ale się sobie przyglądaliście! W ogóle nie wiedziałem, że tak potrafisz. Mam na myśli sposób, w jaki ją badałeś. Te wszystkie pytania. Tak zwyczajnie... Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem. Umówisz się z nią na randkę?

– Nie.

– A zadzwonisz do niej?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo zdążyła zauważyć, że mam obłąkanego syna.

– No cóż, ale i tak wpadła ci w oko, no nie? Tato, przyznaj się... Powiedz, że mam rację.

Jacob nagle roześmiał się.

– No dobrze, masz rację.

– Ojejku, ale mam ojca! A niech to! – pohukiwał Thomas i ściągnął ojcu czapkę na oczy, szturchając go lekko w pierś. Jacob wdrapał się szybko do ciężarówki w obawie, że zaraz ktoś każe ich aresztować.

Jacob uśmiechał się wspominając tamten dzień, ale szybko spoważniał. Słyszał, jak za jego plecami, w kuchni, pałęta się Thomas. Pewnie znowu coś je, pomyślał. Chłopak nie odezwał się do niego słowem przez cały dzień. Wczoraj zresztą też nie. Ważne jednak, że tu był. Nie chciał z nim rozmawiać, ale do domu wrócił z własnej woli.

Jacob westchnął ponownie, myśląc tym razem o kosztach, jakie musiał ponieść w ciągu ostatnich czterech miesięcy na bilety lotnicze. Najpierw leciał z miasta Ho Szi Min do Silk Hope, a zaraz potem musiał polecieć do Seattle, by ściągnąć Thomasa z powrotem do domu. Podniósł głowę słysząc, jak chłopak wchodzi do pokoju.

– Ona ciebie szukała – oznajmił Thomas z pozbawioną wszelkiego wyrazu twarzą.

– Gdzie teraz jest?

Thomas wzruszył obojętnie ramionami.

– Synu, ona ma imię.

– Mhm. I tak nie potrafię go wymówić.

– Umiałbyś, gdybyś tylko chciał.

– Do niczego mi to niepotrzebne. I tak nie mam zamiaru z nią rozmawiać.

– Wydawało mi się, że miałeś nauczyć ją jeździć samochodem. Naprawilem wreszcie samochód i ciężarówkę.

– Ona umie jeździć. I nawet nie to jest najgorsze, że nie zna przepisów, ale jej się wydaje, że ma całą jezdnię wyłącznie dla siebie.

– To naucz ją, jak to się robi! Ja nie mam czasu.

– A może ja też?

– To, do diabła, znajdź go! – ryknął Jacob, tracąc wreszcie cierpliwość. – Może wreszcie na coś się przydasz.

Wcale nie chciał tego powiedzieć. Thomas był świetnym pomocnikiem. Doszło już do tego, że wydzierał się na własnego syna, choć był zły sam na siebie.

Zupełnie nie wiedział, jak poradzić sobie z tym problemem.

– Jadę do sklepu – powiedział ruszając w stronę ciężarówki. – A ty weź się za naukę jazdy.

– Ciekawe, do czego jej to potrzebne, kiedy i tak jeździ tylko do kościoła.

– Słyszałeś, co powiedziałem – rzucił Jacob przez ramię. Wsiadł do ciężarówki i ruszył ostro z podjazdu. Bał się, że jeszcze chwila, a powie lub zrobi coś, czego później będzie żałował.

W drodze do sklepu musiał przejechać koło domu Jessiki. Sklep był w istocie tylko małym wiejskim sklepikiem, ale ona go uwielbiała. Można było w nim kupić wszystko: oranżadę, orzechy, drut, a nawet zasuwkę do drzwi. Jak zwykle czuł pokusę, by skrócić w długą, zacienioną alejkę wiodącą na tył jej domu. Zwolnił nieco spoglądając na dom i ładnie przystrzyżony żywopłot. Nie widzieli się od tamtego wieczora w styczniu, gdy ją pocałował. Minęły już cztery długie miesiące. Pragnął popatrzeć na nią choć przez chwilę.

Nie widział jednak nigdzie jej samochodu. Jak zdążył już zauważyć, ostatnio rzadko bywała w domu, co tylko wzmagало jego desperację. Sam nie był pewien, czego tak naprawdę chce. Przecież z premedytacją zerwał tę znajomość i cokolwiek Jessica robiła, nie powinno go to obchodzić.

Pojechał dalej wiejską drogą, mijając rozproszone domy i zasiane soją pola, ogrodzone pastwiska, miejscową szkołę, a wreszcie budynek z czerwonej cegły, będący siedzibą straży pożarnej, Wiejskiego Domu Kultury i gminnego domu zebrań. Przejechał skrzyżowanie, skręcił w ubitą drogę i zaparkował przed jedynym w okolicy sklepem samoobsługowym. Pełno w nim było ludzi, którzy niedawno wyszli z kościoła.

Wysiadł z ciężarówki i wszedł do środka, choć nie bardzo wiedział, czego tu szuka. Przede wszystkim chciał zyskać na czasie, by nie zaognić sytuacji w domu. Mógł zresztą kupić chleb i mleko, przydadzą się przy apetycie Thomasa.

Powoli przeciskał się do półek z chlebem, wymieniając po drodze uwagi ze spotkanymi znajomymi, gdy zauważył płacącą przy kasie Jessikę. Bez chwili zastanowienia zawrócił i zaczął przeciskać się za nią do wyjścia.

– Jessica! – zawołał, ale udała, że go nie słyszy. Zatrzymała się dopiero koło swojego samochodu. Wtedy, z ręką na klamce, odwróciła się.

– Tak? – powiedziała spokojnie, patrząc mu prosto w oczy. Wyraźnie czekała, by coś powiedział, ale Jacob milczał zakłopotany. Uległ impulsowi, by pobyć z nią choć przez chwilę, ale teraz nie wiedział, jak się zachować.

– Bardzo... bardzo ładnie wyglądasz – powiedział, zdając sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało. Tylko tyle przyszło mu do głowy. Poza tym, że zamiast słowa „ładnie” powinien był użyć słowa „pięknie”.

Uśmiechnęła się lekko i otworzyła drzwi.

– Staram się jak mogę – oznajmiła sucho.

– Jessiko, ja... ja... – plątał się Jacob nie wiedząc, jak powstrzymać ją przed odjazdem.

– Słucham? – spytała, czekając na odpowiedź.

Odwrócił wzrok, kierując go gdzieś ponad jej głową w stronę stacji benzynowej.

– Chciałem ci powiedzieć, że to nie była twoja wina. Wyłącznie moja. Ja...

Jessica nie udawała, że nie wie, o czym mowa. Nagle zwinęła dłoń w pięść i mocno uderzyła go w ramię.

Mało brakowało, a zaskoczony cofnąłby się. Przygwoździł ją spojrzeniem, ale ona ani myślała spuścić wzroku.

– No cóż – odezwał się wreszcie. – Może chociaż dowiem się, za co oberwałem?

– Za to, co chciałeś jeszcze powiedzieć – odrzekła podnosząc koszyk z warzywami. – Że jestem dla ciebie za dobra i że lepiej mi będzie bez ciebie.

– Ale to prawda – powiedział Jacob, tym razem unikając ciosu i chwytając jej rękę. Cieszył się, że chociaż dzięki temu może jej przez chwilę dotykać. Kciukiem lekko pogłaskał ją po dłoni. Nie odpowiedziała. – Bardzo mi ciebie brakowało – mruknął.

– Nigdzie nie wyjeżdżałam – odparowała.

– Powiedziałem ci już. To, co się stało, to nie twoja wina.

Cofnęła rękę i otworzyła drzwi samochodu.

– Pozwolisz, że ci nie uwierzę.

– Jessica...

– Przestań wreszcie bawić się ze mną w kotka i myszkę, Jacobie. Przyznaję, w styczniu zależało mi na tobie. Nie wiem, o co ci wtedy chodziło, i nie wiem tego do tej pory. – Wsiadła do samochodu. – Zresztą, szczerze mówiąc, nic mnie to już nie obchodzi – dodała, zatrzasnęła drzwi i odjechała.

–

Rozdział 3

Thomas wciąż jeszcze kipiał ze złości, ale po wyjściu ojca powoli się uspokajał. Był urażony, a na dokładkę nie miał pojęcia, jak rozwiązać swoje problemy. Nigdy dotąd nie czuł się tak podle. Próbował wyjechać do matki do Seattle, ale pomysł ten okazał się jednym wielkim niewypałem. Niedawno wyszła za męża i prędko postarała się o przyjazd Jacoba, któremu poleciła, by zabrał z powrotem swego syna. Kochana mamuśka powiedziała mu, iż nie stać jej na jego utrzymanie. Szkoda, że pod tym względem nie była bardziej podobna do Jacoba, któremu nigdy nawet nie przyszłoby do głowy zastanawiać się, czy stać go na utrzymanie własnego dziecka.

Thomas usłyszał za sobą jakiś szelest i odwrócił się. No tak. Ona wróciła. Cały czas gdzieś znikająca i, niestety, zawsze wracająca. Ho Xuan Huong. Cóż to za imię?

Właściwie dobrze wiedział, przecież mu powiedziała. Matka dała jej imię wietnamskiej poetki, silnej osobowości, której oryginalna, pisana językiem ludu poezja, przesiąknięta była gorzką ironią. Podobnie jak twórczość Joan Rivers, powiedziała mu kiedyś dziewczyna.

Thomas nie miał pojęcia, skąd znała utwory Joan Rivers, ale nie miał ochoty zaprzętać sobie tym głowy. Nie musiał zresztą pytać, i tak wszystko mu opowiedziała, uważając to widać za swój obowiązek.

– Znow jest nieszczęśliwy – zwróciła się do Thomasa, mając na myśli Jacoba.

– Taak... i oboje wiemy, czyja to wina – odparł Thomas zjadliwie, nie zwracając uwagi na okazywany mu przez nią szacunek.

– Nie wszystko moja – odparła. Jej angielski był całkiem niezły, ale czasami opuszczała niektóre wyrazy. – To ty uciekłeś do Seattle.

– Ale wróciłem, no nie?

– Tak jak ja.

– Ty? Ty zjawiłaś się tu nie wiadomo skąd. Bez zaproszenia. To nie był twój dom.

– Ale teraz jest – odrzekła z uporem.

– Jake nawet nie wiedział, że istniejesz.

– No to się dowiedział. Inaczej nie byłoby mnie tutaj.

Thomas nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Co innego wiedzieć, że twój stary szaleje za babką z banku, a co innego odkryć, iż, będąc niewiele starszym od Thomasa, zadawał się z pewną wietnamską tłumaczką. A teraz jego nieślubna

córka zamieszkała nagle z nimi w ich domu. O ile Thomas się orientował, Jacob ani przez chwilę nie próbował zaprzeczyć, że to jego córka. Co więcej, pojechał po nią na drugi kraniec świata, wydając pieniądze, których stale im brakowało. Teraz natomiast oczekiwał od syna, by się nią zajął: zawoził do kościoła katolickiego pod wezwaniem św. Julii w Siler City, żeby poznał ją ze swymi przyjaciółmi. Tyle, że Thomas nie widział jeszcze, jak Jacob przedstawia Ho Xuan Huong komukolwiek ze swoich przyjaciół, i był więcej niż pewien, iż nikt w Siler Hope nie miał bladego pojęcia o jej istnieniu. Nie miał mu tego zresztą za złe. Nie było powodu głośno się tym chwalić, a Jacob i tak nie należał do ludzi rozmownych.

To przede wszystkim chciała wiedzieć matka, gdy tylko przyjechał do niej do Seattle. Pytała, czy Jacob nadal potrafi milczeć całymi dniami. Wprawdzie pod tym względem wiele się zmieniło, ale ciągle trudno byłoby go zaliczyć do osób towarzyskich. Jedynym wyjątkiem była Jessica Markham. Po raz pierwszy jego ojciec nie gadał wyłącznie o swoich cholernych brzoskwiniach. Rozmawiał swobodnie z piękną kobietą tylko dlatego, że mu się podobała. Trzeba to było widzieć. Jego stary był w tym naprawdę dobry. Musiał być, bo jak inaczej Thomas doczekałby się przyrodniej wietnamskiej siostry?

Zerknął na nią spod oka. Ścisłe rzecz biorąc wyglądała bardziej na Amerykankę niż Wietnamkę. Miała duże, okrągłe oczy, bardzo podobne do jego własnych błękitnoszarych. Choć jej skóra była nieco ciemniejsza, a włosy czarne i proste, to i tak podobna była do amerykańskiej dziewczyny – i do Jacoba Brennera. Była dużo niższa od Thomasa, choć tylko niecały rok młodsza od niego. Ciekawe, co powie ludziom, gdy wszystko się wyda – że są bliźniakami? Huong często nie potrafiła się wysławić, zupełnie nie umiała się ubrać, no i gotowała dla nich takie dziwne rzeczy. Życie zwykłego śmiertelnika, takiego jak on, było czasami naprawdę zbyt ciężkie.

– Wciąż nie rozumiem, jak nas odnalazłaś – poskarżył się głośno.

– Modliłam się – odpowiedziała dziewczyna. – Modliłam się do Amerykańskiej Fundacji Weteranów Wojny Wietnamskiej. Do Fundacji imienia Pearl S. Buck. Do Buddy i Konfucjusza. Do moich przodków, Boga Ogniska Domowego i Władcy Jadeitu. A także do Joanny d’Arc i Sun Jat Sena, świętego Wiktora Hugo i...

– Świętego Wiktora Hugo? – przerwał jej Thomas – Jezusie, Mario i Józefie święty... – westchnął, przewracając oczami.

– Do nich również – dodała Huong ze stoickim spokojem. – Thomas... ?

– Co?

– Wybrałam sobie amerykańskie imię – oznajmiła z wyraźnym zadowoleniem.

– Jak to?

– Nasz ojciec powiedział, że będę się nazywała Brenner. Ale Huong Brenner nie brzmi zbyt dobrze.

– No pewnie.

– Chcesz wiedzieć, jakie imię wybrałam? – Przykucnęła tuż za jego plecami. Nie za blisko, ale i tak działało mu to na nerwy.

– Nie, nie chcę.

– Ale to ty mi je dałeś.

– Ja? – spytał zaskoczony. Odkąd tu przyjechała, – mówił o niej wiele rzeczy, ale żadna z nich absolutnie nie pasowała do nazwiska Brenner.

– No więc, jakie to imię? – spytał wbrew sobie.

– Heidi. Heidi Brenner.

– Heidi? Chcesz mieć na imię Heidi?

– Podoba mi się.

– Posłuchaj, nazwałem cię tak kiedyś, ponieważ...

– Tak, wiem – powiedziała szybko. – Ponieważ mnie nienawidzisz.

Thomas wybałuszył na nią oczy, zaskoczony spokojem, z jakim to powiedziała. Tak, jakby niczego innego się po nim nie spodziewała i nie miała mu tego wcale za złe.

– Ja... ja cię nie nienawidzę – odparł po chwili, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że to być może prawda. Nie był zupełnie przygotowany na jej pojawienie się, rozczarowany ojcem, zdenerwowany z powodu zachowania matki i straszliwie urażony, ale przecież nie nienawidził jej. – Nazwałem cię Heidi, bo po przyjeździe tutaj tak jak ona chowałaś ciągle w swoim pokoju chleb.

– Wiesz, wam tutaj nie tak łatwo uwierzyć w pewne rzeczy. Ja bardzo nie lubię głodować.

– A kto lubi? – odpowiedział Thomas, zepchnięty do defensywy.

Wiedział przecież, że podczas gdy on wiódł ze swoim ojcem całkiem wygodne życie, ona wychowywała się na ulicach Ho Szi Min. W okropnym miejscu zwanym „targiem amerykańsko-azjatyckich dzieci”. Po tych przeżyciach wciąż jeszcze dręczyły ją nocne koszmary. Czasami obaj z Jacobem siedzieli przy niej tak długo, póki się nie uspokoiła. Thomas robił to wprawdzie z niechęcią, ale uważał, że to kwestia honoru rodziny i nie chciał, by wszystko spoczywało na głowie ojca. Ostatnim razem powodem koszmarnych snów było to, że nie mogła sobie przypomnieć nazwy papierosów, które sprzedawały obie z matką. Papierosów,

które decydowały o życiu lub śmierci głodowej. Huong obudziła się przerażona, bo nie mogła sobie przypomnieć ich nazwy, ani gdzie je zdobyć.

– Gauloises – szeptała wciąż – gauloises i Jet & Hero i... i... jak się one nazywają?

Jacob pomógł jej, gdyż wciąż dobrze pamiętał ulicznych sprzedawców z przenośnymi drewnianymi skrzyneczkami.

– Scotty, capstany.

– Ach tak, tak. Scotty i capstany. Dziękuję ci, ojczu.

– Nazywając cię Heidi – wykrztusił Thomas z wysiłkiem – zachowałem się jak gówniarz...

– Tak – zgodziła się z nim spokojnie dziewczyna. – Jak gówniarz. Ale wiesz, czytałam tę książkę. Dostałam ją od siostr ze Świętej Julii. Czasami naprawdę czuję się tak zagubiona, jak ta mała Heidi. To dla mnie dobre imię. Będiesz mnie tak nazywał?

Przez moment wpatrywali się w siebie przez całą długość kuchni. Thomas wreszcie poddał się i wzruszył ramionami.

– W gruncie rzeczy to nic takiego. Możesz się nazywać jak chcesz. Chcesz być Heidi – to będziesz.

– Dziękuję ci.

– Nie potrzebujesz na to mojej zgody. Jesteśmy w Ameryce.

– Tak, wiem. W Ameryce.

Odwróciła się, by odejść, a Thomas nagle poczuł, iż wcale tego nie chce.

– Powiedz, wciąż jeszcze chowasz chleb w swoim pokoju? – spytał starając się, aby zabrzmiało to możliwie nonszalancko, jakby mu w ogóle nie zależało na odpowiedzi.

Uśmiechnęła się leciutko.

– Czasami.

– Wiesz, ja też czasami tak robię. Tylko że ja lubię chleb z masłem z orzeszków ziemnych.

– Czy i ja powinnam to lubić?

– Mam nadzieję że nie, bo zabrakłoby dla mnie.

– Przecież ja wcale nie jem tak dużo.

– Ale dużo chowasz.

Przypomniał sobie, czym zajmował się tuż przed starciem z Jacobem: smarował kolejny już kawałek tostów grubą warstwą masła orzechowego i galaretką z jabłek.

– Wiesz co, Thomas? – zagaiła znów Heidi. – Gdy to wszystko się skończy –

odejdę.

– Gdy co się skończy? – spytał nie patrząc na nią.

– Nie mogę odejść tak w połowie.

– W połowie czego?

– Dzisiaj jest przecież Dzień Matki, no nie? Thomas poniósł głowę i marszcząc czoło spytał:

– O czym ty właściwie mówisz?

– Dzień Matki. O ile można taką znaleźć.

– Matki się nie szuka ani nie znajduje – pouczył ją, pociągając łyk mleka z kubka. – Tego dnia robi się coś dla matki, którą się ma. Ja mojej mamie wysłałem pocztówkę do Seattle. Twoja mama nie żyje, więc ty powinnaś o niej po prostu rozmyślać, no wiesz, wspominać ją.

– Mówisz, że matki się nie znajduje? – spytała drżącym głosem.

– Nie.

Nagle znalazła się bardzo blisko niego i położyła swą dłoń na jego ręce.

– Thomas, jesteś pewien? Mówisz prawdę, a może ubierasz mnie?

– Nabierasz – poprawił ją machinalnie. – Nie, nie nabieram cię. A ty myślałaś, że jak to jest?

– Myślałam, że matki się szuka – odrzekła dziewczyna mocno zaniepokojona. – Już po moim przyjeździe obchodziliśmy święto Matki Boskiej Gromniczej, zwane tutaj również Dniem Świstaka. Tego dnia szukacie świstaków, które są symbolem nadchodzącej wiosny. Ja nie mam mamy, więc pomyślałam sobie... – urwała nagle. Dopiero teraz w pełni dotarło do niej to, co powiedział. – Och, Thomas.

– Co takiego? No powiedz wreszcie. – Nalegał, nie na żarty już zaniepokojony.

– Och, Thomas ^jęczała, przysłaniając dłonią usta. Wyglądało na to, że szuka odpowiedniego słowa, by wyrazić, co czuje. Wydusiła wreszcie:

– Thomas! O rety!

– No dobrze – powiedział, próbując nie wpadać w panikę. – Poczekaj, nic z tego nie rozumiem. Dlaczego, na litość boską, musiałaś wybrać akurat Jessikę Markham? Ojciec szaleje na jej punkcie! – zawołał.

– Wiem o tym – odpowiedziała Heidi, a jej usta drżały. – Na początku, gdy tylko tu przyjechałam, ty i Jacob kłóciliście się, tak jak dzisiaj. Zarzucałeś mi, że przestał się z nią spotykać wyłącznie z mojego powodu. Jacob zaprzeczał mówiąc, że małżeństwo z nim żadnej kobiecie nie wyszłoby na dobre. Ty krzychałaś, że coś jednak z tego wychodzi, skoro wasz dom zapełnia się zabłąkanymi owieczkami, pamiętasz?

– Pamiętam, pamiętam.

– A później zobaczyłam, w jaki sposób przygląda się Jessica...

– Poznałaś ją?

– Nie. Nie widziała mnie wtedy. Ostatnim razem, gdy Jake zawiózł mnie do kościoła, Jessica właśnie wychodziła z banku. Spytałam, kim jest ta piękna kobieta, bo patrzył na nią z ogromnym smutkiem. Kogo więc miałam wybrać?

– Kogo, kogo? Jake'a szlag trafi, kiedy to usłyszysz.

– Czy to coś złego?

– Do diabła, nie, nic złego. Najgorzej, że z pewnością będzie mnie posądzał, iż maczałem w tym palce. Przecież miałem się tobą opiekować! To ja miałem dbać o to, żebyś nie wpadła w jakieś tarapaty. Miałem nauczyć cię prowadzić samochód! – Nagle przestał się wydzierać i głęboko zaczerpnął powietrza. – No dobra. Opowiedz mi wszystko po kolei. Co takiego zrobiłaś?

– Kiedy?

– Jak to kiedy? O Boże!! Po prostu... po prostu opowiedz jeszcze raz od początku, dobrze?

– Jesteś pewien, że chcesz to wiedzieć? Wyglądasz na zdenerwowanego.

– Co ty powiesz? Jeśli myślisz, że jestem zdenerwowany, to poczekaj, aż zobaczysz reakcję Jake'a, gdy się o tym dowie. No już, opowiadaj.

– Było to... było to w lutym.

– W lutym? To już wtedy odstawiałaś te swoje czary-mary?

– Jakie tam czary-mary.

– Dzięki Bogu i za to.

– Ułożyłam wtedy *cay neu*.

– Aha, *cay neu*. No i co dalej? – warknął niecierpliwie.

– I... i nic! Był właśnie Tet, nasz Nowy Rok. Chciałam tylko skierować wszystkie dobre duchy do jej domu – to żadne czary, mary – a trzymać z dala zła. Zanim się zastanowię, co dalej robić.

– No cóż, właściwie czemu nie? Czy ona to widziała? Czy Jessica widziała to twoje *cay neu*? – Wiesz, to było dość widoczne.

– No tak. Tego się obawiałem. Jak to właściwie wyglądało?

Wytłumaczyła mu ze wszystkimi szczegółami.

– Gdy skończył się Tet, zabrałam to stamtąd.

– Widziała cię wtedy?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Tak. Odczekałam, aż wyjdzie do banku.

– Jak, do diabła, dostałaś się tam?

– Pojechałam ciężarówką.

– Heidi, przecież ty nie umiesz prowadzić.

– Umiem – odparła urażona.

– I aż do dziś nic więcej nie zrobiłaś? Pokręciła przecząco głową, ocierając ukradkiem oczy.

– Jedynie modliłam się. Do...

– Tak, tak. Znam już tę listę. I wybrałaś dzisiejszy dzień, bo to Dzień Matki? Przytaknęła.

– No dobrze – powiedział ostrożnie. – I co takiego zrobiłaś?

– Nie powiem ci.

– Lepiej będzie, jeśli ja pierwszy dowiem się tego, a nie Jake – ostrzegł. – Czekam.

– Ja... zaręczyłam Jacoba z Jessiką.

– Co takiego?

– Zaręczyłam ich.

– Doprawdy? Ciekawe, jak to niby zrobiliśmy, jeśli wolno wiedzieć? – spytał ironicznie.

– Ja to zrobiłam. Ciebie tam nie było – poprawiła go.

– Świetnie, tylko przypadkiem nie zapomnij o tym, gdy wszystko się wyda i będziesz opowiadała to ojcu. A więc jak ich zaręczyłaś?

– Frontowy plac posłużył mi za ołtarz rodzinny.

– Jaki frontowy plac?

– No wiesz, taki jak ten – pokazała palcem.

– To weranda. Przednia, frontowa weranda?

– Dokładnie tak.

– No i co dalej?

– Złożyłam tam ofiarę. Przecież teraz ja jestem najstarszą krewną Jacoba. On nie ma ojca ani matki, więc ja musiałam to zrobić. Właściwie to jego ojciec – albo matka powinni spotkać się z jej ojcem, ale to nie było przecież możliwe.

– Jak Heidi... Jak to zrobiłaś?

– Przy pomocy liści betelu i orzechów areca oraz trociczek.

– A skąd to wszystko wzięłaś?

– Orzechy ze sklepu z żywnością z Dalekiego Wschodu w Siler City. Gorzej było z trociczkami. Niewiele sklepów je tu sprzedaje, ale udało się.

– Powiedz, i co z tym wszystkim zrobiłaś?

– Położyłam je na werandzie. Wraz z zapalonymi świeczkami. Tak, aby święty Wiktor Hugo, święta Joanna d’Arc i Sun Jat Sen mogli ją odnaleźć.

– I mówisz, że cię nie widziała?

– Nie.

– Po prostu położyłaś to wszystko na jej werandzie?

– Tak. I modliłam się.

– No cóż. To nawet wcale tak strasznie nie wygląda.

– Jest jeszcze jedno – powiedziała Heidi.

– Co takiego znowu? Albo nie, lepiej nie mów.

– No dobrze – zgodziła się podejrzanie szybko, chcąc najwyraźniej pozostawić go w błogiej nieświadomości.

– No dobrze. Zaryzykuję. Powiesz mi wreszcie?

Jacob usłyszał krzyki w chwili, gdy wysiadał z ciężarówki. Nie brzmiało to jak kłótnia, bardziej jak dwugłos rozpacz. Nie zamykając drzwi pojazdu pędem rzucił się do tylnych drzwi domu.

– Co się tu, do diabła, dzieje? – zawołał.

W odpowiedzi z ust dzieci wydobył się, jak na komendę, wspólny okrzyk:

– O rety!

Rozdział 4

– Nigdy więcej tak nie wrzeszcz! – szepnął Thomas do siostry, gdy tylko Jacob opuścił kuchnię. Wyekspediowanie go stamtąd nie było zresztą wcale takie łatwe. Thomasowi nigdy dotąd nie udało się oszukać ojca. Najwyraźniej dziś jednak miał on coś innego na głowie i gotów był zaakceptować wyjaśnienia Thomasa, iż była to tylko próba generalna przed pierwszym w życiu Huong meczem koszykówki.

– Ale to nie ja zaczęłam! – odszepnęła niezadowolona. – Dlaczego w ogóle tak zawyłś? Myślałam, że stało się coś straszego.

– Bo się stało! Wykopałaś przecież przodków Jessiki.

– Nikogo nie wykopywałam! Po prostu opowiedziałam ci, jak to jest w Wietnamie. Chcę, byś zdawał sobie sprawę, jak ważni są przodkowie. Oni naprawdę – mogą nam pomóc! Myślisz, że jestem taka głupia, by wykopywać jakichś Amerykanów?

– Tak! – zawołał Thomas.

Oczy Heidi zapełniły się łzami, a podbródek zadrżał.

– Masz natychmiast przestać ryczeć, słyszysz? – powiedział błagalnie nieco speszony chłopiec. Niestety, nie podziałało. Potok łez popłynął po policzkach dziewczyny.

– Rety, Heidi, przestań wreszcie buczeć. Co będzie, jeśli wróci Jake i to zobaczy? – Poklepał ją niepewnie po plecach zerkając jednocześnie, czy ojciec nie nadchodzi. – Czego się właściwie spodziewałaś? Że niby jak zareaguję, gdy opowiadałaś o wykopywaniu i myciu ludzkich kości?

– Ale nie powiedziałam przecież, że zrobiłam to z przodkami Jessiki! – zawołała ocierając łzy. .

– Wobec tego co zrobiłaś?

– Nic! – zaprotestowała. – To znaczy...

– O Boże! – westchnął Thomas, opadając ciężko na krzesło przy kuchennym stole.

Złapał się za głowę. Czym sobie na to wszystko zasłużył? Spojrzał na przyrodną siostrę. Przestała wreszcie płakać, ale wciąż wyglądała na zaniepokojoną.

– Wyłumacz mi dokładniej – zaproponował.

– Po prostu... pełam chwasty. Sadziłam kwiaty.

– Gdzie, Heidi? Gdzie?

– Na cmentarzu. Tam, gdzie wyjeżdżając z Siler City skręcasz w drogę do Silk Hope. Na tamtym cmentarzu. – Umilkła i skuliła się w sobie, jakby w oczekiwaniu na jego kolejny wybuch. – Więc wszystko w porządku? – spytała, gdy nie zareagował.

– Nie wiem – przyznał Thomas zgodnie z prawdą.

– Byłam tylko na grobach Markhamów – dodała Huong poważnie. – Chociaż był tam też jeden o nazwisku „Jessica”, bo zapomniałam, jak to u was w Ameryce jest z nazwiskami. W Wietnamie mamy najpierw nazwiska, potem imiona, a tutaj jest odwrotnie. To bardzo mylące.

Thomas zjechał nieco w dół na swoim krześle i wbił wzrok w sufit.

– Thomas? – spytała Huong niepewnie.

– Co takiego? – odparł znużony.

– Będziemy mieli kłopoty?

– My? Nie, skądże. To t y będziesz je miała.

Westchnęła. Zerknął na nią. Stała na środku pomieszczenia z pochyloną głową.

– Thomas – usłyszał znowu jej głos.

– Słucham?

– Czy w Ameryce bracia pomagają swoim siostram, gdy te mają jakieś kłopoty?

Wpatrywał się w nią dość długo, zanim odpowiedział:

– No cóż, nie wiem, jak inaczej uda ci się z tego wykaraskać. – Wstał nagle. – Chodź, musimy wysprzątać werandę Jessiki, zlikwidować to wszystko.

– Jak to zlikwidować? – spytała zaniepokojona. – Tego nie można niszczyć. To przynosi pecha. Okropnego pecha.

– Heidi, nie możemy tego tam zostawić! Jessica, gdy tylko to zobaczy, natychmiast wezwie policję.

– Policję?

– Tak, policję! Trzeba to stamtąd usunąć, zanim wylądujemy w wieczornych wiadomościach, oskarżeni o odprawianie satanistycznych praktyk rytualnych.

– Szatan?! – zawołała dziewczyna zdenerwowana.

– Ależ jego nie ma na mojej Uście.

– Ale domyślasz się chyba, co Jessica może pomyśleć?

– No... nie bardzo.

– Heidi, ona nie ma pojęcia o ofiarach z orzechów areca i liści betelu. Pomyśli sobie, że stała się obiektem zainteresowania jakiejś krwiożerczej sekty czy czegoś w tym rodzaju. I nie przysłużymy się Jake'owi, jeśli ona odkryje, iż ta sekta ma

tylko dwóch członków.

– Dwóch?

Thomas wskazał palcem na siebie, a potem na nią.

– Winny współudziału – oświadczył złowrogo. – No dobra, idziemy.

– Już teraz?

– Tak, teraz. Powiemy Jake’owi, że uczysz się prowadzić – oznajmił i podszedł do drzwi, ale dziewczyna ani drgnęła.

– Muszę powiedzieć to Bogu Ogniska Domowego – powiedziała ruszając w stronę kominka w salonie.

– Muszę mu wszystko opowiedzieć, aby on wyjaśnił to Władcy Jadeitu.

– Heidi...

– Muszę to zrobić.

Czekał, podczas gdy ona, klęcząc przed paleniskiem kominka w pełnej szacunku postawie, cicho składała swoje wyjaśnienia. Jeszcze kilka dni temu jego życie było w miarę normalne, z siostrą przyrodnią czy bez. Teraz musiał czekać, aż jakiś tam jej bóg usłyszy oficjalną wersję ostatnich wydarzeń, aby on mógł zerwać liściasto-orzechowe zaręczyny swego ojca i Jessiki Markham. Oczywiście, jeśli nie przeszkodzą im w tym święty Wiktor Hugo, Joanna d’Arc i jakiś Chińczyk.

– Chodźmy już – powiedział. – Pośpiesz się. A jeśli natkniemy się na Jake’a, to pozwól, że ja będę mówił.

– Dlaczego? – spytała, gdy popychał ją w kierunku tylnego wyjścia.

– Dlatego, że nie chcę, aby na pytanie „dokąd idziecie?” usłyszał odpowiedź „zerwać twoje zaręczyny”.

– Nie wiem, czy możemy je zerwać. To przynosi pecha. Ale ufam, że ty wiesz, co robisz.

– Lepiej późno niż wcale. Od tej chwili nie wolno ci nic robić bez uzgodnienia ze mną. A teraz marsz do ciężarówki.

Jacob przyglądał się odjazdowi swoich dzieci, dumając, jak to się stało, iż jadąc rano do Silk Hope opuszczał dwoje w miarę sensownych młodych ludzi, a kiedy wrócił, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że uczestniczy w jakiejś tragifarsie. Nie miał zielonego pojęcia, co się dzieje, ale był więcej niż pewien, że ma to niewiele wspólnego z nauką jazdy. Zbyt się spieszyli, a poza tym widział, jak Thomas zamarł z przerażenia na widok zasiadającej za kierownicą Huong. Jacob pokręcił głową. Ufał Thomasowi i uznał, że tym razem nie powinien ingerować. Po raz pierwszy bowiem widział jakąś nić porozumienia pomiędzy córką i synem. Nie

zamierzał tego zakłócać. Postanowił nie zawracać sobie tym więcej głowy. Miał dość własnych zmartwień. Takich jak brzoskwinie, pieniądze.

Jessica.

Co dalej? Wciąż zadawał sobie to pytanie. Jessica postawiła sprawę jasno: powiedziała, że nie chce mieć z nim więcej do czynienia, a on miał zamiar to uszanować. Był tylko jeden mały problem: nie wierzył jej. Patrząc w jej oczy wyczuł ponownie to nieokreślone coś, co zawsze między nimi istniało od pierwszego dnia, gdy się poznali. I nie chodziło o to, że on był mężczyzną, a ona więcej niż atrakcyjną kobietą.

Uśmiechnął się do siebie. Ostatnio był wobec niej mało uprzejmy, a ona dała mu to boleśnie odczuć. Tak ładnie dziś wyglądała. Z pewnością przez te ostatnie miesiące nie usychała z tęsknoty za nim. Wyglądała naprawdę świetnie. Zdrowo. Szczęśliwie.

Wspominał jej miękkie ciemne włosy, brązowe oczy i piękne, pełne piersi. Tak bardzo chciałby wtulić głowę w jej włosy. Leżeć przy niej, kochać się. Chciał z nią żyć, dzielić każdą sekundę. Po dniu ciężkiej pracy wracać do domu po to, by dostrzec w jej oczach radość na jego widok. Mógł to sobie całkiem dobrze wyobrazić. Z pewnością nie przeszkadzałoby im, że on nosi dzinsy, bawełniane koszulki i czapkę baseballową, a ona granatowy kostium i aktówkę pod pachą. Byliby szczęśliwi i bardzo w sobie zakochani.

– Do diabła z tym! – wyrzucił z siebie ze złością.

Poszedł do sadu, starając się odegnać trapiące go myśli i zastąpić je obrazem kwitnących drzewek. Po powrocie z Wietnamu plantacja była jego ratunkiem i kryjówką. Teraz jednak uświadomił sobie, że tym razem drzewa owocowe nie na wiele mu się przydadzą. Co więcej, w ogóle go nie interesowały. Zamiast tego nachodziły go wspomnienia wspólnych spacerów z Jessiką po sadzie. Spacerów, które były czymś wyjątkowym tylko dlatego, że ona tam była. Ciekawiło ją wszystko, co dotyczyło hodowli brzoskwiń. Kiedyś było tak zimno, że wsunęła mu do kieszeni swoją zmarzniętą dłoń. Boże, ależ go to wtedy ucieszyło. Nie mógł uwierzyć, iż czuje się z nim tak dobrze i swobodnie, że pozwala mu ogrzewać swoją dłoń. Czuł się wtedy jak nastolatek, obłądnie szczęśliwy tylko dlatego, że ona z nim jest.

Tak niesłychanie szczęśliwy...

Jego myśli automatycznie pobiegły do innych kobiet w jego życiu, tych, na których mu zależało. Do matki Thomasa, która żądała od niego więcej, niż mógł jej zaoferować. Do matki Huong, która nigdy niczego nie żądała. Żadnej z nich

znajomość z nim nie wyszła na dobre. A co on mógł dać takiej kobiecie jak Jessica? Tylko siebie i swoje kłopoty. Zresztą zniszczone już zostały wszelkie widoki na wspólną przyszłość. To znaczy on zniszczył to, co rodziło się między nimi, gdyż wiedział, że jest o krok od zakochania się. Wtedy musiałyby sprawę postawić jasno: wszystko albo nic. Nie wytrzymał nerwowo i wybrał to ostatnie.

Najchętniej zwałiby winę na zamieszanie związane z Huong, ale Jessica nawet nie wiedziała o jego córce. Jacob westchnął ciężko. Starał się przecież jak mógł. Pragnął tylko dobra swojej rodziny, również w jej nowym kształcie. Cały czas bał się, że straci kontakt z Thomasem. Zdawał sobie sprawę, jak wiele wymaga od chłopca. Nie było jednak innego, lepszego sposobu, niż wyjaśnienie mu po męsku całej sytuacji. Mógł tylko liczyć na to, że prędzej czy później wszystko samo się ułoży. Wiedział, iż Thomasowi nie będzie łatwo zaakceptować ani Huong, ani tego, że jego ojciec też ma swoje ludzkie słabości. Dziś jednak po raz pierwszy wyglądało na to, że zaufanie, jakim darzył Thomasa, było uzasadnione.

Przygiął lekko do siebie gałązkę drzewka brzoskwini, by lepiej się jej przyjrzeć, ale tak naprawdę nic nie widział. Przyszło mu nagle do głowy, iż winien jest Jessice takie samo zaufanie, jakie okazał synowi. Nie mógł przecież pojawić się ponownie w jej życiu i nie udzielając żadnych bliższych wyjaśnień oczekiwać, że przyjmie go z otwartymi ramionami. Powinni porozmawiać. Postanowił jej powiedzieć, co czuł wtedy, gdy przestali się widywać, i co czuje teraz. To ona powinna zadecydować, czy jest nim dalej zainteresowana. Wyjaśni jej wszystko tak samo, jak wyjaśnił Thomasowi.

Rozejrzał się wokół. Wreszcie podjął konkretną decyzję i zdecydowanie poprawił mu się humor. Słońce świeciło, drozdy śpiewały. Jedyne, co musiał teraz zrobić, to nakłonić Jessikę, by zechciała go wysłuchać.

Rozdział 5

Jessica była pewna. To znów ten sam szept. Siedziała w salonie w bujanym fotelu swojego ojca i usiłowała zapanować nad wrażeniem, jakie wywarło na niej ponowne pojawienie się Jacoba Brennera. Okno było uchylone, a wiatr od czasu do czasu unosił lekko firankę. W pokoju wyraźnie słychać było dochodzący z zewnątrz szept. Podbiegła do frontowych drzwi i otworzyła je, ale na dworze nie było już nikogo. Nawet orzechów, liści i świeczek. Rozglądała się na wszystkie strony i czuła się idiotycznie. Zaczęła wątpić, czy to wszystko jej się nie przywidziało. Niczego już nie była pewna, poza faktem, że widok Jacoba Brennera przyprawił ją o drżenie kolan, a jego dotyk o przyspieszone bicie serca. Coś niedobrego działo się z jej głową.

Na moment przymknęła oczy, po czym weszła z powrotem do domu. Musiała wziąć się w garść. Spodziewała się na obiedzie gościa, miała więc zajęcie. Wcześniej, podczas swych rozważań w bujanym fotelu, zastanawiała się, o co Jacobowi chodziło tego ranka. Najpierw powiedziała sobie, że nie powinna już interesować się tym, prawda była jednak inna. Był czymś wyraźnie zmartwiony. Zauważyła to w jego oczach, ale urażona ambicja wzięła górę i nie pozwoliła jej wysłuchać tego, co miał do powiedzenia. Znowu ogarnęło ją rozgoryczenie. Właśnie dziś, gdy zaprosiła na obiad kolegę z banku, Charliego Hiltona, Jacob postanowił porozmawiać z nią na oczach połowy Silk Hope. Niemal słyszała te wszystkie szepty i komentarze obserwujących ich ludzi.

„Patrzcie, Jake rozmawia z Jessie. Ciekawe, co to oznacza?”

No właśnie? Co?

Zaprosiła Charliego przede wszystkim po to, by odwrócić myśli od Jacoba. Po tym jednak, co stało się dziś rano, potrafiła myśleć tylko o nim. Co powiedział, jak wyglądał, jak ciepła była jego ręka na jej dłoni. A wszystko tylko dlatego, że niespodziewanie wpadła na niego, a on łaskawie raczył z nią porozmawiać. Na samą myśl o tym ogarnęła ją złość. Żałowała, że nie uderzyła go dużo mocniej. Mieszkając w wielkim mieście zdążyła poznać niejednego mizogina, wroga kobiet, i wiedziała, jak z takimi postępować. Kiedy jednak patrzyła w oczy Jacoba, jej serce biło jak głupiutkiej, zakochanej nastolatce. Najchętniej objęłaby go i wróciła do tamtej zimnej, gwiazdzistej styczniowej nocy, kiedy się wszystko skończyło.

Zacisnęła zęby. Gdzie się podziała jej duma?

Najwyraźniej w tylnej kieszeni spodni Jacoba Brennera.

Spojrzała na wskazówki zegara, by sprawdzić, ile czasu pozostało jej na przygotowanie posiłku. Lubiła Charliego Hiltona. Był od niej nieco młodszy. Odkąd zaczęła pracować w banku, od czasu do czasu umawiał się z nią na drinka czy kolację. Podejrzewała, że robił to trochę z wyrachowania, by jako młody, niedoświadczony pracownik banku skorzystać z jej wiedzy i doświadczenia. Ale nie miała mu tego za złe. W sumie dobrze się rozumieli. Żałowała tylko, że zaprosiła go na ten konkretny wieczór.

Wchodząc do kuchni, kątem oka dostrzegła w oknie jadalni czyjaś sylwetkę, zmierzającą do tylnego wejścia. Był to Charlie – cztery godziny za wcześnie! Pod pachą ścisnął nie domkniętą aktówkę.

– Witaj, Jess! – powitał ją promiennie, gdy otworzyła mu drzwi. – Wiem, że jestem za wcześnie, ale chcę ci coś zaproponować.

– Co takiego? – spytała uśmiechając się, gdyż miała nadzieję, że przyszedł przelożyć spotkanie.

– Pomożesz mi teraz z tymi rachunkami, a ja później zabiorę cię do Siler City na wykwinną kolację. Co ty na to?

Zerknęła na pękającą w szwach teczkę. Nie miała najmniejszej ochoty na spędzenie reszty popołudnia nad lokatami kapitałowymi. Chciała jeszcze pójść na cmentarz na grób matki, a także podumać trochę o problemie pod tytułem Jacob Brenner.

– Charlie, jest niedziela. Dzień Matki. Chyba powinieneś odwiedzić dziś swoją mamę?

– Już to zrobiłem. Jess, pilnie potrzebuję twojej pomocy. Nasze grube ryby kazały mi się zająć tymi nowymi rachunkami. Zupełnie nie wiem, jak się do tego zabrać, a nie chcę wszystkiego schrzanić. – Wolną ręką poprawił na nosie eleganckie okulary.

– Charhe.

– Proszę! Bardzo, bardzo proszę!! – zawołał, wyraźnie gotów rzucić się przed nią na kolana, gdyby sytuacja tego wymagała.

– Nie wygłupiaj się! – powiedziała i roześmiała się. Charhe zupełnie nie miał smykałki do inwestycji kapitałowych ani samych inwestorów, ale bardzo się starał, a ona go lubiła.

– No już dobrze, wejdz, pomogę ci.

– Och, dzięki ci, dzięki, Jess! Nigdy tego nie zapomnę – oświadczył, przeciskając się z trudem przez wąskie drzwi i starając się nie uderzyć Jessiki wypchaną teczką.

– Możemy rozłożyć się z tym na stole w kuchni? – zaproponował.

– Świetnie. Chcesz się czegoś napić?

– Myślałem, że już nigdy o to nie spytasz. Może być cokolwiek. Mrożona herbata, kawa, woda... – wzniósł niewinnie oczy do góry – coś mocniejszego...

– Myślę, że najlepiej ci zrobi mrożona herbata.

Charlie zdążył już zdjąć marynarkę i poluznić krawat. Teraz zajęty był podwijaniem rękawów.

– Wyśmienicie. Cokolwiek każesz. Jessiko Markham, jesteś wspaniała.

– Dobrze, dobrze – mruknęła wyjmując z lodówki herbatę. Tylko wspaniała kobieta mogła umówić się na – randkę z młodszym mężczyzną, by ślęczeć z nim nad papierami.

– Uprzedzam cię, że to będzie niezły pasztet – zapewnił ją Charlie.

Niestety, rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza. Charlie był mistrzem w zapamiętywaniu cyfr, ale podstawowe wiadomości dotyczące poszczególnych klientów natychmiast ulatywały mu z głowy. W końcu Jessica, doprowadzona niemal do ostateczności, wyciągnęła go na tylną werandę licząc na to, że świeże powietrze dobrze mu zrobi i że zacznie wreszcie myśleć. Miejsce to, choć zadane, skąpane było w promieniach słońca i dawało niezłą osłonę przed wciąż jeszcze chłodną „jeżynową zimą”. Ustawione na ceglany murku kwitły już czerwone pelargonie, a roztaczający się stąd widok był wprost przepyszny. Wspaniała, spokojny wiejski pejzaż. Było tam naprawdę miło i spokojnie, ale szybko stało się jasne, że przeprowadzka w niczym Charliemu nie pomogła.

– Mówiłam ci, żebyś robił sobie notatki – powiedziała Jessica zniecierpliwiona.

– Wszystko pamiętam.

– Nieprawda.

– Pamiętam. Po prostu.

– W porządku. Więc powiedz mi, co wiesz o panu Godwinie.

– Godwin, Godwin – powtarzał, starając się przypomnieć sobie choć strzępek, okruch informacji. Na nic się to jednak nie zdało.

– Godwin nie lubi, by mu cokolwiek sugerować – powtarzała Jessica po raz setny – chyba że sam o to – prosi. Tak więc trzymaj przy nim buzię na kłódkę. Niczego nie proponuj, jeśli nie chcesz, by zrobił coś dokładnie odwrotnego. Bez względu na to, czy to dobry pomysł, czy nie, i tak robi to po swojemu. Ale jeśli on na tym straci pieniądze, ty stracisz klienta. Masz siedzieć cicho i czekać, aż poprosi cię o opinię. Natomiast twoim obowiązkiem jest wiedzieć absolutnie wszystko na temat akcji i obligacji, jakimi Godwin operuje na rynku, i udzielać mu na ich temat

szczegółowych informacji. I nie próbuj go oszukiwać: on nie pyta o nic, czego i tak by już nie wiedział. Pamiętaj, nigdy mu nie mów, co ma robić, zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – bąknął Charlie.

– To dobrze. A teraz opowiedz mi wszystko od początku.

Spojrzał na nią.

– Co mam ci opowiedzieć?

– To, co ci przed chwilą powiedziałam, zakuta pało! – zawołała Jessica zamierzając się na niego plikiem dokumentów, które właśnie trzymała w ręku. Charlie złapał ją za nadgarstek i wyciągnął z fotela, rozrzucając przy tym pozostałe papiery. Oboje wybuchnęli śmiechem. Nagle Jessica straciła równowagę i wylądowała na kanapie-huśtawce, pociągając za sobą Charlesa. W tej samej chwili kątem oka dostrzegła jakiś ruch w rogu werandy.

Gwałtownie odwróciła się i ujrzała Jacoba Brennera.

Nigdy w życiu Jacob Brenner nie czuł się tak głupio. Zdawał sobie sprawę, iż powinien coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Wiedział natomiast, co Thomas i Huong powiedzieliby w takiej sytuacji.

– O rety!

Jessica spotykała się z innym mężczyzną. Uświadomił to sobie szybko i boleśnie. Mógł się czegoś takiego spodziewać i powinien był najpierw zadzwonić. Szkoda, że nie pomyślał o tym już wtedy, gdy zobaczył obcy samochód na jej podjeździe. Powinien poczekać na powrót Thomasa i Huong i wziąć ciężarówkę. Hałas, który powodowała, zaalarmowałby Jessikę i tego tam faceta, że ktoś przyjechał. Powinien był zrobić cokolwiek, by nie dopuścić do takiej sytuacji.

– Wybacz mi, Jessiko – wykrztusił wreszcie. – Nie miałem zamiaru przeszkadzać. Wpadnę innym razem.

Chciał odejść, ale Jessica powstrzymała go.

– Poczekaj, proszę – powiedziała. – Wcale nie przeszkadzasz. Czy znasz... ?

– Jestem Charles Hilton – powiedział Charlie wstając z huśtawki z wyciągniętą ręką. – A pan nazywa się Jack Brenner, prawda? Zaciągnął pan u nas w banku pożyczkę pod zastaw hipoteczny. – Mówiąc to, Charlie potrząsał energicznie ręką Jacoba, rzucając przy tym Jessice triumfalne spojrzenie, którego Brenner nawet nie próbował rozszyfrować. – A więc, Jack! Jak leci?

Jessica wpadła mu w słowo.

– Charlie, to jest Jacob. Jacob Brenner.

– Świetnie, Charles, dziękuję. Wszystko w porządku – odpowiedział Jacob. Z

całą pewnością nie jest to prawda, pomyślał, ale co mi tam.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Jacobie? – spytała Jessica, patrząc mu prosto w oczy.

– Tak, możesz, pomyślał. Możesz rzucić tego faceta. Możesz . pójść ze mną. Możesz pozwolić mi wyjaśnić wszystko, pozwolić cię kochać.

Odparł jednak:

– To może poczekać. Przyjadę, gdy nie będziesz już tak... zajęta. Miło mi było cię poznać, Charles – dodał, znów kłamiąc. Odwrócił się i odszedł nie widząc, że Jessica biegnie za nim.

– Jacob! – zawołała, gdy podszedł do swojego biało-szarego buicka rocznik 1976. Samochód był stary i bardzo się różnił od schowanego w kępach mirtu srebrnego wozu Charlesa. Jacob odczekał chwilę i odwrócił się.

– Co się stało? – spytała go, gdy wreszcie spojrział na nią.

– Nic. Nic takiego. Do zobaczenia – odpowiedział z udawaną obojętnością.

– Jacobie Brenner! – oznajmiła stanowczym tonem. – Czy wiesz, że czasami doprowadzasz mnie do szaleństwa?

– Ty też, Jessie. Ty też doprowadzasz mnie do szaleństwa – odparł cicho, uporczywie patrząc jej w oczy.

Miała lekko uchylone usta. Promienie słońca padały na jej ciemne włosy, a wiatr uniósł jeden kosmyk, który zasłonił jej policzek. Nie zastanawiając się, Jacob zgarnął go, świadomie dotykając wierzchem dłoni ciepłego, delikatnego policzka. Był pewien, że ona nawet nie zdaje sobie sprawy, jak pięknie wygląda.

– Jacob! – zaprotestowała, ale nie cofnęła się. Pozwoliła, by założył zabłąkany kosmyk za ucho, wciąż badawczo szukając odpowiedzi w jego oczach. – Naprawdę nie wiem, czego chcesz.

– Ciebie – odpowiedział szczerze. – Chce ciebie.

Uznał, że na dobrą sprawę Jessica ma prawo wiedzieć, dlaczego postanowił ponownie wdrzeć się w jej życie. Tym bardziej teraz, gdy z pobliskiej werandy przypatruje im się Charles. Nie czekał na odpowiedź. Nie odważyłby się, w każdym razie nie w obecności osób trzecich.

Wsiadł do samochodu, uruchomił go i wycofał się długim podjazdem aż do szosy.

– Myślisz, że jest wściekły? – szepnęła Heidi.

– Nie – odpowiedział Thomas również szeptem, śledząc wzrokiem oddalający się samochód ojca.

– Ale on przestał się w ogóle odzywać. Odkąd wróciliśmy, nie spytał nawet o

moją naukę jazdy. Nie powiedział ani jednego słowa.

– Dlatego nie sędzę, by był wściekły. Gdyby tak było, wiedzielibyśmy o tym, możesz być pewna.

– A wiec co się z nim dzieje?

– A skąd mam wiedzieć? Być może widział u Jessiki tego wymuskanego elegancika w srebrnym BMW. To wystarczyło...

Heidi ze współczuciem pokiwała głową, a Thomas westchnął.

Po tym, co przydarzyło im się tego ranka, miał zupełnie zszarpane nerwy. Najpierw zostawili samochód zaparkowany przy drodze i próbowali podkraść się w pobliże frontowej werandy domu Jessiki tak, by nikt ich nie zobaczył. Nie było to łatwe, zważywszy na fakt, że dom stał na otwartej przestrzeni. Ku swemu przerażeniu stwierdzili, że po rytualnych liściach betelu i orzechach areca nie było nawet śladu. Ledwie zdążyli wrócić do ciężarówki, gdy zatrzymał się przy nich ten mądrała w srebrnym BMW pytając, dlaczego stoją na poboczu drogi. Thomas wyjaśnił mu, że przegrzewa mu się silnik. Miał z tego powodu wyrzuty sumienia. Co innego skłamać czasami ojcu ratując własną skórę, ale wprost nienawidził kłamać obcym. Miał wtedy wrażenie, że ich w jakimś sensie wykorzystuje. Trzeba było powiedzieć, że po prostu zamieniają się za kierownicą. Byłoby to w każdym razie nieco bliższe prawdy.

– Jak myślisz, co Jessica zrobiła z moją zaręczynową ofiarą? – spytała Heidi zaniepokojona. – Myślisz, że przekazała ją policji?

– Skądże znowu. Na pewno do FBI. Mamy przecież takie cholerne szczęście.

– Och, Thomas.

Nagle usłyszeli, jak trzasnęły tylne drzwi. Oboje zamilkli w oczekiwaniu na pojawienie się Jacoba, który wszedł do kuchni, natychmiast podszedł do zlewozmywaka i odkręcił kran z zimną wodą. Trwało dość długo, zanim zdecydował się napełnić dużą szklankę i wypić. Oboje siedzieli przy kuchennym stole i przyglądali się mu.

Odstawiając szklankę spojrział na nich jakoś dziwnie, lecz nic nie powiedział. Wyszedł z kuchni i natychmiast wrócił.

– W przyszłą sobotę w remizie strażackiej będzie impreza organizowana przez Klub Rolnika. Z hamburgerami i hot-dogami – oznajmił. – Chcę, żebyście byli gotowi dokładnie na osiemnastą. Oboje. Czas przedstawić wszystkim Huong.

Rozdział 6

Jessica prawie nie odstępowała telefonu. Po czterech miesiącach ciszy wystarczyły tylko dwa spotkania z Jacobem Brennerem, by znów zaczęła za nim tęsknić i czekać na jakiś sygnał. Była psychicznie wykończona: z jednej strony jacyś obcy, wałęsający się po jej posesji i pozostawiający zapalone świece, z drugiej Jacob Brenner. W tamto niedzielne popołudnie, po jego odjeździe, pojechała na kolację z Charliem. Była więcej niż pewna, iż Jacob wróci, by z nią porozmawiać. Nie przyjechał jednak ani w niedzielę wieczorem, ani żadnego innego dnia. Straciła apetyt, źle spała, a w banku, ilekroć podchodził do niej jakiś klient, zamierała w oczekiwaniu, że to on.

Nie miała jednak zamiaru popełnić po raz drugi tego samego błędu. Postanowiła, że nie zadzwoni do niego, chociaż takie bierne czekanie było sprzeczne z jej naturą.

„Ciebie. Pragnę ciebie”.

Jak mógł powiedzieć jej coś takiego i nie pokazać się więcej, nawet nie zadzwonić?

Dlatego, że nazywa się Jacob Brenner, musiała przyznać z goryczą. Czyżby niczego się nie nauczyła? Powinna wiedzieć, że jest nieobliczalny. Większość ludzi mierzyła czas w minutach lub godzinach, Jacob najwyraźniej robił to w miesiącach, latach, wiekach. Jeśli w ogóle zawracał sobie tym głowę.

Późnym popołudniem w niedzielę przypomniała sobie, że obiecała pomóc przy organizacji wieczorku, urządzanego tego dnia przez Klub Rolnika. Imprezy miejscowego klubu cieszyły się dużą popularnością w Silk Hope i odbywały się dość regularnie. Uzyskane w ten sposób pieniądze przeznaczano zazwyczaj na stypendia uniwersyteckie dla miejscowych absolwentów szkół średnich. Zgodziła się pomóc licząc na to, że spotka tam Jacoba, ale wydarzenia ostatniej niedzieli zachwiały jej postanowieniem.

Wahała się długo, zanim zdecydowała się jednak pójść. Było kilka spraw, o których chciała powiedzieć Jacobowi, choć może niekoniecznie w obecności całego Silk Hope.

Jacob siedział w ciężarówce czekając na Huong i Thomasa, i niecierpliwie bębnił palcami po kierownicy. Zaczynał tracić cierpliwość. Wychodząc z domu spodziewał się, że dzieci będą już na niego czekały. Był jednak w błędzie.

Przyjrzał się swoim spoczywającym na kierownicy dłoniom. Zadał sobie wiele

trudu, by je wyczyścić, ale wyglądały dokładnie tak jak zawsze – szorstkie, zniszczone dłonie robotnika. W towarzystwie Jessiki nigdy nie musiał się ich wstydzić, nigdy nie czuł się z ich powodu nieswojo. Tylko w obecności jej przyjaciela z banku odczuł nagłą potrzebę otarcia ich o spodnie, nim wyciągnął dłoń na powitanie.

Czy byli kochankami?

Jeśli tak nawet było, mógł mieć pretensje tylko do siebie. Wolał o tym nie myśleć. Jeśli byli, to mówiąc Jessice, że jej pragnie, zrobił z siebie jeszcze większego głupca niż dotychczas.

Gdy ujrzał ją wtedy, w niedzielne popołudnie, z włosami skąpanymi w słońcu, niewiele myśląc powiedział, co czuje. Wtedy wydawało mu to się takie naturalne, teraz nie był już tego pewien. Możliwe, że tylko pogorszył sprawę. Jedynym pocieszeniem były jej słowa wypowiedziane na parkingu. Pamiętał je dokładnie: „Przyznaję, w styczniu zależało mi na tobie... „

Drgnął, gdy w oknie ciężarówki pojawiła się nagle głowa Thomasa.

– Co jest?

Pogratulował sobie w duchu, że nie spytał: „czego znów chcesz?” Kłopoty ostatniego tygodnia nie pozwoliły mu na bliższe zastanowienie się nad coraz bardziej dziwnym zachowaniem syna i córki. Wciąż nie miał zielonego pojęcia, co też oboje knują, ale wolał tchórzliwie schować głowę w piasek. Nie miał siły ani chęci, by zamartwiać się jeszcze i tym, o co im właściwie chodzi.

– Chodź lepiej i porozmawiaj z nią, tato – oznajmił Thomas bez wstępu.

– Co się stało?

– Płacze.

– Dlaczego? Myślałem, że wszystko jest w porządku? – spytał Jacob marszcząc czoło.

– No, wiesz...

– Nie pokłóciliście się chyba, co?

– Nie, nie pokłóciliśmy się – odpowiedział Thomas ze złością. – Dlaczego zawsze musisz myśleć, że wszystko to moja wina?

– Prawdopodobnie dlatego, że jesteś jedyną osobą w okolicy. Gdzie ona jest?

– Siedzi na schodach frontowej werandy. Tato, powiedz jej, żeby przestała ryczeć. Wszystko zniszczy.

Jacob z trudem powściągnął uśmiech. W tym wypadku „wszystko” oznaczało fryzurę i makijaż. Wydawało mu się niesłychane, iż Thomas z dnia na dzień zamienił się w konsultanta w sprawach mody, doradzając swej siostrze wybór

fryzury czy też odpowiedniego, jego zdaniem, koloru cienia do powiek i szminki. Co więcej, wyłożył na to wszystko pieniądze z własnej kieszeni – zarówno na kosmetyki i nową fryzurę, jak i na nową bluzkę i szorty. W tym celu naruszył swój, ukryty gdzieś głęboko, „fundusz na porsche’a”. Oznajmił, że Huong może oddać mu pieniądze, gdy tylko znajdzie jakąś pracę. Kiedy Jacob pochwalił go za to, zareagował z oburzeniem, zarzekając się, iż zrobił to tylko dlatego, by nie wstydzić się za siostrę. Upierał się przy takiej wersji, ale nie była to prawda. Huong straciła humor z chwilą, gdy dowiedziała się o planowanym wieczorze w Klubie Rolnika. Przez cały tydzień Thomas starał się jak mógł, by ją rozweselić i umilić jej ten wieczór.

Jacob w poszukiwaniu Huong przemierzył cały dom. Był wysprzątnany i zadbany – zasługa dziewczyny, która nie chciała być dla nikogo ciężarem. Zajęcie się wspólnym gospodarstwem uważała za swój obowiązek. Jacob rozumiał to podejście, ale ciągle powtarzał, że jest to teraz również jej dom, a ona nie przebywa w nim za karę. Mijając drzwi jej pokoju zajrzał do środka, ale dziewczyny tam nie było. Nadal siedziała na schodach frontowej werandy, odwrócona tyłem do niego. Nawet nie spojrzała, gdy usiadł obok na stopniu. Naprawdę wyglądała bardzo ładnie w tym komplecik z krótkimi spodenkami, który zafundował jej Thomas. Miała też, tak jak sugerował, tylko bardzo delikatny cień na powiekach i ślad szminki na ustach. Wyglądała jak każda inna amerykańska nastolatka, z wyjątkiem potoku łez spływających jej teraz po policzkach.

– Huong...

– Staram się nie płakać – powiedziała szybko, podnosząc na moment głowę. – Po prostu... po prostu jestem taka szczęśliwa.

– Tak, właśnie to widzę – odparł Jacob, wyciągając z kieszeni chusteczkę i podając ją córce. Nawet ta chusteczka, pomyślał, jest kolejną oznaką jego statusu robotnika. Pracownikom banku chusteczki nie były potrzebne. W każdym razie nie takie, które by do czegoś służyły. Ich ręce stale pozostawały czyste.

– Masz, weź to i otrzyj sobie oczy. Wiem, że jest ci – trudno, ale wydawało mi się, że przeszliśmy już przez najgorsze. Czasami przecież musisz spotkać się z ludźmi.

– Wiem, ojczy, to po prostu...

– Co takiego? – zapytał po chwili, gdy zamilkła znów na dłużej. – Możemy przecież o tym porozmawiać. Powiedz, co cię gnębi.

Coś odpowiedziała cichutko.

– Co powiedziałaś?

Spojrzała na niego.

– Moja matka tak bardzo tego pragnęła... bym odnalazła cię i przyjechała tutaj.

Ona po to... po to żyła.

– To prawda – przytaknął Jacob.

– Ale ja nie chcę być dla ciebie...

Milczał przyglądając się, jak zbiera całą swoją odwagę.

– Nie chcę, byś się mnie musiał... wstydzić – wydusiła z siebie wreszcie drżącym głosem, ale nie odwróciła spojrzenia.

– Rozumiem – odparł Jacob i odetchnął z ulgą. Niemal spodziewał się usłyszeć, iż Huong nie chce być jego córką. Była taka cicha i nieśmiała, a on tak bardzo nalegał, by przestała się wreszcie chować po kątach.

Rozumiał ją jednak. Spędził długie godziny na rozmowach z zakonnicami ze Św. Julii i z prawnikami z Amerykańskiej Fundacji Weteranów Wojny w Wietnamie. Wiedział, co musiała przecierpieć tylko dlatego, że jej ojciec był amerykańskim żołnierzem.

– To ty musiałaś się wstydzić z mojego powodu – powiedział cicho. – Tam, w Wietnamie.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Ależ skąd... – próbowała zaprotestować, ale szybko dała sobie spokój i znów pochyliła głowę.

Pogładził ją po włosach.

– To, co musiałaś przejść przeze mnie na „Dziecięcym Targu”, było dużo gorsze niż to, czego ja kiedykolwiek doświadczę z twojego powodu. Ja się ciebie nie wstydzę. Jesteś moją córką i nie chcę, abyś myślała, że znaczysz dla mnie mniej niż Thomas.

– Ale on jest twoim synem.

– A ty córką. Jesteście moimi dziećmi. Znów uniosła głowę.

– Kochałeś matkę Thomasa. Moja matka była... Nagle wróciło wspomnienie młodej wietnamskiej kobiety w długiej, białej sukni. Wspomnienie bardzo żywe i bolesne. Wydawało mu się, że dawno już zapomniał, jak wyglądała, ale nagle ujrzał ją oczami wyobraźni wśród innych obrazów, które przelatywały przez jego głowę jak odłamki stłuczonego szkła. Ujrzał siebie samego w brudnym, sfatygowanym mundurze marines; poległych i umierających; poczuł parne gorąco i zapach Wietnamu, usłyszał Jamesa Taylora śpiewającego „Carolina in My Mind” i słowa, cicho szeptane po francusku przez młodą wietnamską kobietę o imieniu Ho Thi Lan.

Il y a long temps que je faime, Jacob. Już od dawna kocham cię, Jacobie.

Spojrzał na Huong. Ciężko było mu wyrazić, co czuje, ale będzie musiał się postarać. Jest to winien swojemu nieszczęśliwemu dziecku i młodej kobiecie w białej sukni. Zacerpnął głęboko powietrza, by ukryć ból związany ze wspomnieniami.

– Twoja matka była jedną z najbardziej uroczych istot, jakie znałem. Była piękna i delikatna, i cieszę się, że jesteś bardziej podobna do niej niż do mnie. Nigdy jej nie zapomnę. Była bardzo ważną częścią mojego życia. Kochała mnie i cierpiała z tego powodu. Przykro mi, że tak się stało, ale cieszę się, że mam ciebie.

Widział ulgę na jej twarzy, będącą odbiciem jego własnego stanu ducha. Po raz pierwszy w życiu postąpił jak należy.

– Dziękuję ci, ojczy – powiedziała Huong, ponownie ocierając oczy chusteczką, ale tym razem starała się już nie rozmazać makijażu. – Potrafię być bardzo dzielna. Naprawdę potrafię.

– Jeśli pójście z nami jest dla ciebie zbyt bolesne, to naprawdę nie musisz...

– Hej – usłyszeli głos Thomasa stojącego w drzwiach za ich plecami. – Jedziemy wreszcie czy nie? Wszystko zjedzą, zanim tam dotrzemy.

– Zdaje się, że twój brat jest znowu głodny – zauważył Jacob uśmiechając się do córki.

Odwzajemniła mu się leciutkim uśmiechem.

– A to mi dopiero niespodzianka – zażartowała. – Musimy chyba jechać i nakarmić tę dziurę bez dna.

Thomas, jak belfer, uniósł palec do góry.

– Worek, to się nazywa worek.

Po przyjeździe do Domu Kultury w Silk Hope Thomas szybko przekonał się, jak bezpodstawne były jego obawy, że zabraknie jedzenia. Sądząc po ilości zaparkowanych przed budynkiem pojazdów, wewnątrz musiało być ponad sto osób, a i tak wciąż jeszcze gotowało się i smażyło całe mnóstwo hot-dogów i hamburgerów. A jak pięknie pachniały! Trzy wielkie, opalane węglem drzewnym rożna zostały ustawione na cementowym podjeździe, tuż przy dużych, podwójnych drzwiach, w których tłoczyli się uczestnicy wieczorku, przysmażając sobie paszteciki i kotlety schabowe. Wewnątrz rozstawiono kilka rzędów stołów dla tych osób, które chciały jeść na siedząco. Ulubiony stoi Thomasa, z ciastami i deserami, wciąż jeszcze ugiął się pod ciężarem czekoladowego ciasta, szarlotek i placków z brzoskwiniami.

Wizja cudownego obżarstwa nie przesłoniła mu jednak całego świata. Zauważył spojrzenia, jakie wymienili jego ojciec i Jessica Markham. Nie umknęła mu także obecność zastępcy szeryfa, wielkiego Sonny'ego Cooka. Jessica i Jacob dostrzegli się w chwili, gdy ona wkładała osłonięte gumowymi rękawiczkami dłonie w wielką misę z nierdzewnej stali, pełną cienko pokrojonej cebuli. Nie mogli oderwać od siebie wzroku. Sonny stał natomiast tuż obok stanowiska z lodem i lekkimi napojami alkoholowymi. Zajmował czymś uwagę dużej grupy zebranych wokół siebie osób, które, co ciekawe, nawet go słuchały.

Nic dziwnego zresztą, pomyślał w duchu Thomas. Przez zgiełek i hałas docierały do niego takie słowa, jak „czciciele szatana” i „Jessica Markham”. Jessica, słysząc swoje nazwisko, bacznie rozejrzała się wokół, nie zwracając uwagi na stojącą przed nią kobietę z hot-dogiem w ręku, która czekała na dodatkową porcję cebuli. Heidi zamarła. Był więcej niż pewien, że tylko jego obecność powstrzymywała ją przed ucieczką.

– Idź dalej! – wysyczał, nie otwierając ust. Uznał, że jeśli sprawa ma się wydać, to on przynajmniej zdaży najpierw napełnić żołądek. Popchnął siostrę lekko do przodu, spodziewając się, że Jacob lada chwila ich opuści, by porozmawiać z Jessiką. Widać było, że ma na to ogromną ochotę. Thomas niemal wyczuwał fluidy, jakie krążyły między nimi.

Jacob jednak, zanim odszedł, pochylił się nad Heidi.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, nieświadom tego, co oboje właśnie przeżywali. – Trzymaj się Thomasa. On powie ci, co masz robić.

Dziewczyna posłusznie przytaknęła, ale już po chwili ścisnęła Thomasa mocno za ramię, gdyż Jacob nie poszedł porozmawiać z Jessiką, tylko z Sonnym Cookiem.

– Słuchaj! – szepnęła przerażona. – Nie chcemy chyba, żeby dowiedział się o orzechach areca w domu Jessiki?

– Oczywiście, że nie! – odpowiedział jej równie cicho Thomas. – Jak myślisz, ile czasu zajęłoby mu odkrycie, kto w okolicy w ogóle wie, co to są orzechy areca?

– Naprawdę źle się stało, że ofiary zostały uprzątnięte. Spójrz, co się teraz dzieje! Jessica nawet nie pozdrowiła ojca, a ma takie miłe oczy. Byłaby z niej piękna matka. Thomas, zrób coś.

Zrób coś?

Bardzo chciał „coś zrobić”. Na przykład zjeść hamburgera. Może nawet dwa lub trzy. Do tego hot-doga z wielką ilością cebuli. Potem ciasto czekoladowe i szarlotkę. Tęsknym wzrokiem zerknął w stronę zastawionych jedzeniem stołów i jęknął. Co za widok!

– Po prostu rób to samo co ja – zwrócił się cicho do siostry.

– Ale ty nic nie robisz.

– O to właśnie chodzi. Uspokój się. Po prostu, jak gdyby nigdy nic, przesuniemy się w tamtą stronę i poprosimy Jake’a, żeby przyłączył się do nas. Chodź, zanim będzie za późno i on o wszystkim się dowie.

Ponaglana przez Thomasa poszła za nim, ale nie potrafiła ukryć zatroskania na twarzy.

– Co się stało? – spytał Jacob, gdy tylko ją zobaczył.

– Nic takiego, ojciec – odpowiedziała szybko. Za szybko. – Po prostu martwiliśmy się o... o twoje ucho – dokończyła niezbyt szczęśliwie.

– O moje co?

– Twój żołądek – wtrącił się natychmiast Thomas.

– Ona miała na myśli żołądek, tato. Chodź z nami coś zjeść.

– Zaraz do was dołączę – powiedział Jacob, przyglądając się im uważnie. Czuł, że coś się kryje za tym dziwnym zachowaniem, ale co? – Chcę tylko posłuchać, co Sonny ma do powiedzenia.

Thomas przysunął się do niego i szepnął:

– Wiesz, tato, chodzi o pieniądze.

– Masz przecież pieniądze.

– Ale nie starczy na nas dwoje. Jestem głodny.

Głodny.

– Ja też – zapewniła go Heidi.

Thomas zdawał sobie sprawę, że oboje kłamią jak z nut, ale ich rozpaczliwe położenie wymagało szybkich, choć może mało finezyjnych rozwiązań.

– Poza tym naprawdę powinieneś porozmawiać z Jessiką – dodał. – Wciąż zerka w twoją stronę.

– Thomas!..

– No i kogo tu widzimy? – zawołał nagle chłopiec, gdyż właśnie w tej chwili podeszła do nich Jessica.

– Spójrz, tato, kto przyszedł! No cóż – paplał dalej – w takim razie idziemy jeść. Jadłś już, Jessiko?

– Jeszcze nie... – zdążyła odpowiedzieć, zanim jej przerwał.

– Tak też myślałem! Tędy, tato. Pójdiesz z nami, Jessiko?

– Thomas, uspokój się! – powiedział Jacob.

– A co się stało? – spytał Thomas, udając niewiniątko.

– Następnym razem, gdy będziesz pracował na słońcu, koniecznie włoż

kapelusz.

– Dobrze, tato, jak sobie życzysz. Zrobię jak każesz.

– Czy możesz już puścić Jessikę?

– Co takiego? Ach, najmocniej przepraszam.

– A teraz zmywaj się stąd. I to już! – dodał Jacob z naciskiem.

Thomas chciał dalej protestować, ale ojciec położył rękę na ramieniu Heidi i zwrócił się do stojącej obok niego kobiety.

– Jessiko, chcę ci przedstawić moją córkę.

Jessica sama była zdziwiona, jak mało zaskoczyła ją ta wiadomość. Podobieństwo młodej dziewczyny do Jacoba było uderzające. Zerknęła na niego i zdała sobie sprawę, iż wszyscy oczekują jakiejś reakcji z jej strony.

– Witaj w Silk Hope – powiedziała, wyciągając dłoń na powitanie. – Przez długi czas mieszkałam daleko stąd i też dopiero się przyzwyczajam.

– Więc i pani czuje się tu jeszcze obco? – spytała nieśmiało dziewczyna.

– Czasami nawet bardzo – odparła Jessica, zerkając znów na Jacoba. Zdenerwował ją wyraz wdzięczności, jaki dostrzegła w jego spojrzeniu. Zastanawiała się, co sobie wyobrażał? Może spodziewał się nieuprzejmości z jej strony? To prawda, była na niego zła za to, że pojawiał się i znikał z jej życia, ale dlaczego miałyby to sobie odbijać na jego dzieciach, nawet jeśli nie o wszystkich wiedziała?

– Masz na imię Huong? – spytała, powtarzając usłyszane przed chwilą imię dziewczyny. – Czy dobrze je wymawiam?

– Bardzo dobrze, panno Jessiko.

– Proszę, mów mi po imieniu.

– Dobrze, Jessiko – spróbowała Huong niepewnie.

– Proszę – powiedział Jacob wręczając Thomasowi nieco pieniędzy.

– A to za co? – zdziwił się Thomas.

– Robisz ze mnie balona czy co? Przecież przed chwilą powiedziałeś, że potrzebujecie pieniędzy.

– Aa... tak, faktycznie.

– No więc...

– Więc CO, tato?

– Myślałem, że jesteście głodni. Bierz pieniądze i zmykaj. Wydaj je.

– Ach tak. Świetnie. Ile chcesz reszty?

– Jak najwięcej. Przydadzą się na koszty twojego leczenia.

– Ależ, tato! – Szturchnął ojca w ramię. – Idziesz z nami?

– Za chwilę – odparł Jacob z naciskiem.

Thomas jeszcze się wahał, ale w tym momencie siostra wzięła go pod ramię.

– Chodźmy już. Było mi miło panią poznać – zwróciła się uprzejmie do Jessiki.

– Postaram się, ojczy, żeby nie zjadł również twojej kolacji.

– Sama nie wiesz, jakie zadanie wzięłaś na swoje barki – uśmiechnął się Jacob.

– Jest bardzo ładna – powiedziała Jessica.

– Tak, to prawda – zgodził się Jacob, przyglądając się odchodzącym dzieciom.

Stali tak oboje nie wiedząc, co dalej począć. Jessice zupełnie wyleciało z głowy to, co chciała mu powiedzieć, choć okazja była znakomita. Jacob Brenner był przystojnym mężczyzną o smutnych oczach i delikatnych rękach, których dotyku było jej tak bardzo brak. Gdyby nie to, że tak dobrze pamiętała tamtą gwiazdzistą, styczniową noc, gdyby nie tęsknota, jaką odczuwała zawsze na jego widok, nie miałyby najmniejszych kłopotów z wyrażeniem targających nią od tygodnia sprzecznych uczuć. Aż tu nagle okazało się, że on ma córkę i nic innego zdawało się go nie obchodzić. Czekala więc na jakieś wyjaśnienia.

Nic takiego jednak nie uczynił. Po prostu stał i patrzył na nią, a ona miała dziwne wrażenie, że gdyby nie obecność tych wszystkich ludzi wokół, przytuliłby ją mocno. Nigdy dotąd nie spotkała kogoś, kto tak bardzo potrzebowałby ukojenia, czegoś, czego ona nie mogła mu ofiarować. Chciała go pocieszyć, nie wiedząc nawet, co jest przyczyną jego smutku.

– Jacob, uciekłeś gdzieś myślami – szepnęła, odzyskując resztki urażonej dumy. Czekala przecież cały tydzień, by z nim wreszcie porozmawiać. A mieli sobie wiele do powiedzenia. – Żyjesz jeszcze?

– Nie – odparł pohamowując uśmiech. – Sto drzewek.

– Co proszę? – spytała zdziwiona.

– Przemarzło sto drzewek.

– Ach tak, teraz rozumiem. I dlatego byłeś zbyt zajęty, by zadzwonić do mnie?

– Nie.

– Nie?

– Może nawet znalazłbym wolną chwilkę, ale sądziłem, że potrzebujesz więcej czasu, żeby się zastanowić.

– Być może. Gdybym tylko wiedziała, nad czym mam się zastanawiać. Może przestaniemy owijać wszystko w bawełnę, dobrze? Co miałeś wtedy na myśli?

– Kiedy?

– Gdy powiedziałeś, że mnie pragniesz.

– Co miałaś na myśli mówiąc, żebyśmy przestali owijać wszystko w bawełnę?

– Ja pierwsza zadałam pytanie – odparta Jessica, a on uśmiechnął się i wziął ją pod rękę.

– Może odejdziemy kawałek, aby wszyscy, którzy słuchają naszej rozmowy, mogli znów zająć się swoimi sprawami.

Jessica rozejrzała się. Rzeczywiście otoczeni byli już sporą grupką ciekawskich.

– Jacobie – szepnęła, gdy prowadził ją w stronę zastawionych jedzeniem stołów. – Ja naprawdę chcę wiedzieć, co wtedy miałeś na myśli.

– Miałem na myśli dokładnie to, co powiedziałem. To i wszystko inne.

– To znaczy co?

– Wszystko – powtórzył.

– Tak po prostu. Zwyczajnie. Zwłaszcza, że nie widzieliśmy się od wielu miesięcy.

– Taak. Co zjesz? Hot-doga czy hamburgera? Niecierpliwym gestem wskazała na hot-doga.

– Jacob, to wszystko jest bez sensu.

– Masz chyba rację, Jess.

– Jacob...

– Weź tego hot-doga. Nie wstrzymuj kolejki.

– Czy to Huong jest powodem, dla którego przestałeś się ze mną spotykać?

– Nie.

– Nie? – spytała zawiedziona myśląc, że chętnie przyjęłaby niespodziewane pojawienie się córki jako wygodne wytłumaczenie jego nagłej rejterady.

– Dowiedziałem się o niej już po naszym rozstaniu.

– A więc o co chodzi? Miałeś żonę, o której nikt nie wiedział?

– Matka Huong nigdy nie była moją żoną – odparł, spokojnie przesuwał się w kolejce z talerzem w rękę. Spojrzał na nią uważnie.

– Dlaczego? Przecież najwyraźniej wasz związek nie był czysto platoniczny. A może zamierzasz ją teraz poślubić?

– Jess, matka Huong nie żyje. Zmarła ubiegłej zimy w Wietnamie, nawet nie wiedząc, że Huong mnie odnalazła. Nie miałem od niej żadnej wiadomości od siedemnastu lat.

– Czy to ona tak chciała, czy ty?

– Jess...

– Dobrze, nieważne – westchnęła ciężko. – Myślę, że znam już odpowiedź. Jesteś mężczyzną, którego niełatwo zatrzymać przy sobie. Tylko nie wiem, czy ta świadomość w czymkolwiek mi pomoże.

- Jessica, poczekaj – zawołał za nią, gdy odwróciła się, chcąc odejść.
 - Miałaś rację – powiedziała przez ramię, nie zatrzymując się. – Potrzebuję czasu na zastanowienie...
 - Wpadnę do ciebie później.
 - Nie. Nie będzie mnie.
 - Wychodzisz gdzieś z tym bankowcem?
 - Słuchaj! Znikasz nagle, nagle się pojawiaasz – więc jak możesz zadawać mi takie pytania? – oświadczyła, lekko już zirytowana.
 - W takim razie może powinniśmy dać sobie z tym wszystkim spokój?
- Długo wpatrywała się w jego oczy, zanim odpowiedziała:
- Chyba tak.

Rozdział 7

Przez cały poniedziałek Jacob pracował w sadzie, ale zupełnie nie mógł się skupić.

„Może powinniśmy dać sobie z tym wszystkim spokój”.

Wciąż brzmiały mu w uszach własne słowa. Co za głupotę palnął, mówiąc jej coś takiego. Wiedział przecież, że nie jest w stanie zapomnieć o Jessice Markham. Powinien mieć naprawdę więcej rozumu, ich stosunki i tak już były napięte.

„Może powinniśmy więc dać sobie z tym wszystkim spokój”.

Zamiast powiedzieć jej o swoich uczuciach, znów wszystko popsuł. Zostawiła go w kolejce po hamburgery, a on przez resztę wieczoru musiał samotnie stawiać czoło mniej lub bardziej wścibskim pytaniom ich wspólnych znajomych, czy przypadkiem się nie pokłócili.

Zgodnie z prawdą – zaprzeczał. Jak mogliby się zresztą pokłócić, rozważał w duchu, skoro ich rozmowa nigdy nie trwała na tyle długo, by mogło do tego dojść? Zainteresowanie sprawą było w każdym razie tak duże, iż nikt specjalnie nie zwracał uwagi na Huong. Tym samym ich pierwsze wspólne publiczne wystąpienie w żadnym stopniu nie przyczyniło się do wprowadzenia dziewczyny w miejscową społeczność. Jacob podejrzewał, że prawdopodobnie wszyscy wzięli ją za przyjaciółkę Thomasa. Biedactwo, będzie musiała z jego winy jeszcze raz zadebiutować jako członek rodziny Brennerów. Po tym niespodziewanym opuszczeniu sali przez Jessikę wołał sobie nawet nie wyobrażać reakcji zebranych na wieść o tym, że ma córkę. Huong i tak już była przekonana, że wszystko, co złe, dzieje się z jej winy.

Nie wykonał nawet połowy roboty, gdy niebo gwałtownie się zachmurzyło. Mimo to pracował dalej, od czasu do czasu zerkając w kierunku domu. Lada chwila powinien wrócić ze szkoły Thomas. Bardzo liczył na jego pomoc, wspólnie zdążyliby z pracą przed deszczem.

Po chwili Jacob postanowił iść do domu i spytać Huong, czy nie orientuje się w planach brata na dzisiejsze popołudnie. Dziewczyny jednak również nie było.

Nie był tym specjalnie zaskoczony. Często wychodziła sama z domu, ale nie mógł zrozumieć, co się dzieje z Thomasem. Wyszedł na dwór i spojrzał na drogę. Wichura nasilała się, a z południowego zachodu nadciągały ciężkie, czarne chmury. Za kilka minut powinien lunąć deszcz.

Buick, ich jedyny samochód osobowy, często się psuł, Jacob postanowił więc

pojechać do Silk Hope na wypadek, gdyby Thomas utknął gdzieś na drodze.

Jeszcze raz spojrzął z niepokojem w niebo, po czym wsiadł do ciężarówki i ruszył w kierunku miasteczka. Po drodze mijał spalone ruiny starej farmy, ogrodzone pastwiska, a wreszcie piaszczystą dróżkę prowadzącą do domu Jessiki. Ku jego zaskoczeniu zdążyła już wrócić z banku, a może w ogóle nigdzie nie wychodziła... Umocowany w pobliżu zabudowań sznur zawieszony był ręcznikami, prześcieradłami i bielizną pościelową. Nagle dostrzegł Jessikę biegnącą w kierunku sznura, żeby uchronić pranie przed zmoknięciem. Wiatr targał wściekle gałęziami drzew, a pierwsze krople deszczu uderzyły o przednią szybę ciężarówki. Kilka sekund później lało jak z cebra.

Jacob gwałtownie zahamował, po czym cofnął się nieco, by skrócić w podjazd.

Deszcz wzmagął się, a Jessica, walcząc z wiatrem, usiłowała ściągnąć ze sznura kolejną sztukę pościeli. Usłyszała nadjeżdżający pojazd i zdziwiona ujrzała Jacoba w nieodłącznej czapeczce Bravesów. Jak zwykle jego zamiary były nieodgadnione.

Nic jednak nie powiedziała, wołała nie wnikać w powody jego obecności, choć ucieszyła się, że przyjechał. Od czasu do czasu zerknęła w jego kierunku, ale był zbyt zajęty ściąganiem masy pościeli i upychaniem klamerek w kieszeniach, by zwracać na nią uwagę.

Wreszcie załadował jej wszystko na ręce, żeby mogła już biec do domu, sam zaś zerwał ostatnie prześcieradła i ręczniki. Byli przemoczeni do suchej nitki, kiedy wpadli do domu tylnym wejściem. Jessica prowadziła, rzucając bieliznę na pralkę. Odwróciła się, odebrała od Jacoba resztę rzeczy i podała mu ręcznik. Stali bardzo blisko siebie. Było jej zimno i z trudem powstrzymywała się od dygotania. Mokra trykotowa koszulka całkowicie przylegała do jej piersi, fakt, którego on nie omieszkał przeoczyć. Mogła oczywiście cofnąć się, ale nie zrobiła tego. Stała bez ruchu pozwalając, by podziwiał w niej kobietę i być może również po to, żeby zaczął żałować.

Gwałtownie wyciągnęła rękę, wzięła od niego ręcznik i wytarła twarz i ręce.

– Nie spodziewałam się, że cię jeszcze zobaczę – powiedziała. – Wydawało mi się, że chcesz wszystko skończyć.

Deszcz wzmógł się, spadając ciężkimi kroplami na patio. Jacob wyjrzał przez obite siatką drzwi.

– Czasami zdarza mi się mówić głupstwa – odrzekł i spojrzął na nią.

Jessica starannie unikała jego wzroku.

– To grad z deszczem. Nie boisz się o swoje brzoskwinie?

Wiedziała, że podczas takiej pogody przebywał zawsze w domu, wędrując niespokojnie tam i z powrotem, tak jakby wysiłkiem woli był w stanie ochronić swoje drzewa przed szkodami.

– Nie wszystko naraz, Jessiko.

Czuła na sobie jego palące spojrzenie. Nie mogąc dłużej znieść napięcia, zaczęła zbierać z podłogi ręczniki, które zsunęły się z pralki. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie wiedziała, po co przyjechał, czego od niej chce. Wiedziała jedynie, czego ona pragnie.

Pragnęła Jacoba. Nie chciała myśleć o tych wszystkich miesiącach, kiedy go przy niej nie było. Woląca nie myśleć o jego odnalezionej córce. Pragnęła być jedynie blisko niego, jedyne go mężczyzny, na którym jej zależało i za którym tak bardzo tęskniła.

– Nie poszłaś dzisiaj do pracy? – spytał po chwili.

– Nie. Wzięłam kilka dni wolnego – odpowiedziała, wciąż nie patrząc na niego. Była to prawda, choć odpowiedź sugerowała, że z decyzją nosiła się już od dawna. Tak jednak nie było, zdecydowała się nagle. Musiała po prostu odpocząć. Od rozmyślenia o nim, wyobrażania sobie odpowiedzi na pytania, których w swej dumie nie chciała zadać, od nasłuchiwania, czy znów ktoś nie podrzuca jej liści, świec i bambusowych prętów.

Poczuła bardziej niż zobaczyła, że stanął bliżej.

– To dobrze. Bałem się, że może jesteś chora. Jechałem właśnie szukać Thomasa, gdy zobaczyłem cię na podwórzu.

– Twój syn był tu wcześniej. Powiedział, że jedzie do Siler City – odrzekła nie wspominając jednak, iż chłopiec wydał jej się równie niespokojny jak podczas wieczorku w Klubie Rolnika. Uznała jednak, że to względnie normalne zachowanie u dorastającego nastolatka. Jacob zmarszczył czoło.

– A czego on tutaj szukał?

– Niczego. Pracowałam właśnie na podwórzu. Zatrzymał się tylko na chwilę i powiedział „dzień dobry”.

– W skupieniu, jakby od tego zależało jej życie, składała ręczniki. Usłyszała jego westchnienie.

– No cóż, chyba już pojedę – oznajmił. Wahał się przez chwilę, jakby chciał coś dodać, ale zrezygnował. Podeszedł do drzwi.

– Jacob...

– Słucham? – Nie wiedział, co zrobić z rękami. Otworzyć drzwi? Wziął ją w ramiona?

– Dziękuję ci. Za pomoc przy zbieraniu pościeli.

– Nie ma za co – odparł cicho.

Czuła, że czeka, i wiedziała nawet, na co. Przecież nieomal przyznał się, że to, co powiedział jej na wieczorku w Klubie Rolnika, wcale nie było prawdą. Teraz zaś chciał, by ona, bez jakiegokolwiek zachęty z jego strony, podjęła za niego jakąś decyzję.

Przymknęła na chwilę oczy. Ależ ją wkurzał ten facet! A przy tym był taki beznadziejnie uczciwy i odpowiedzialny, choć miał chyba patent na znikanie z horyzontu. Przypomniała sobie jego słowa: „Chcę ci przedstawić moją córkę”.

Poza tym żadnych wyjaśnień i tłumaczeń – z wyjątkiem stwierdzenia, że to nie Huong była powodem ich zerwania.

W takim razie co? Chciała wiedzieć, ale to pytanie nie przechodziło jej przez gardło.

Otworzył drzwi.

– Jacob?

– Tak, Jess?

Tym razem spojrzała mu prosto w oczy, przejęta ich smutkiem. Usiłowała zmusić swoje usta, by coś – cokolwiek – powiedziały. Bez skutku.

Dlaczego to musi być takie trudne? pomyślała z rozpaczą.

Dlatego, że się bała. Ponieważ nie chciała zrobić z siebie idiotki. Ponieważ naprawdę zależało jej na nim. Zacisnęła usta w wąską linię.

– Powiedz, żebym nie odchodził – szepnął Jacob.

– Jacob... – spróbowała raz jeszcze. – Nie odchodź...

Nie przypominał sobie, w jaki sposób znalazł się tuż przy niej. Ale przecież musiał to zrobić, gdyż stali teraz mocno przytuleni do siebie, a on zacisnął mocno powieki, starając się zapanować nad ogarniającymi go emocjami. Zapach i ciepło jej ciała wywoływały w nim pragnienie, jakiego nigdy dotąd nie czuł. Rozkoszował się radością i obawami, swym pożądaniem. Już od lat nie był tak bardzo szczęśliwy.

Pragnął jej. Głaskał ją po plecach, drżącymi rękami unosił mokre włosy z jej karku, składał delikatne pocałunki na policzkach i uszach, aż poczuł, jak jej dłonie zaciskają się mocniej na jego szyi.

– Tęskniłem za tobą, Jess – mówił. – Nie było dnia...

– Przecież byłam tutaj. Wiesz o tym...

Nie pozwolił jej mówić. Jakże kochał smak jej ust, sposób, w jaki rozchylała je

pod naciskiem jego warg.

– Co mówisz? – szeptał. – Co?

Wpatrywała się w niego. Jej oddech był równie urywany jak jego, a usta wciąż lekko rozchylone. Gwałtownie zdjęła mu z głowy czapkę, ujmując jego twarz w obie dłonie.

– Nieważne – odparła, całując go w usta. – I tak już za późno.

Za późno, pomyślał Jacob. Mieli sobie wiele do powiedzenia, ale nie była to odpowiednia pora. Z zachwytem pozwolił się ponieść ogarniającej ich oboje rozkoszy. Ściągnął z niej mokrą koszulkę, po czym wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Do jej łóżka.

Tysiące razy marzył o tym, jak będzie kochać się z nią, i nie doznał rozczarowania. Nie była ani śmiała, ani zawstydzona. Była ciepła, kochająca i piękna, a jej cichy szept kazał mu zapomnieć o całym świecie. Zatracił się w niej całkowicie. Miała niezwykle gładką skórę, a słodkie odkrywanie jej ciała pozwoliło im już wkrótce znaleźć się na skraju rozkosznej przepaści.

Gdy wchodził w nią, cicho wyszeptwała jego imię. Pragnęła spojrzeć mu w oczy, by znaleźć w nich odpowiedź. Pozwolił jej na to.

Weź mnie takim, jakim jestem, Jessica.

Burza minęła. Na zewnątrz i wewnątrz. Jessica leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Przez cztery miesiące udawała, że pragnie wykreślić go ze swego życia. Leżąc teraz koło Jacoba, rozgrzana i nasycona miłością, wiedziała, że oszukiwała samą siebie.

Czy może być między nami jeszcze więcej niż to, co się zdarzyło? – myślała.

Nie odważyła się jednak spytać. Chciała więcej, ale nawet gdyby było to niemożliwe, niczego nie żałowała. Pragnęła go i to było najważniejsze. Zastanawiała się tylko, czy znowu zniknie z jej życia, czy znów przyjdzie jej wpatrywać się tęsknie w telefon w oczekiwaniu na jakikolwiek znak...

Ucałował jej przymknięte oczy, by po chwili odsunąć się nieco.

– Kocham cię, Jessiko – powiedział, a ona poczuła pod powiekami łzy. Były to ostatnie słowa, jakich się spodziewała. Wtuliła twarz w zagłębienie jego szyi.

– Słyszałaś, co powiedziałem?

– Słyszałam. Po prostu nie myślałam... – Odchyliła nieco głowę, by w jego oczach znaleźć potwierdzenie tych słów. – Jesteś pewien? – spytała poważnie.

– Obawiam się, że tak – odpowiedział z jeszcze większą powagą.

Nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Dostrzegła chochlika w jego oczach, ale jeśli miał zamiar z niej kpić, to za chwilę naprawdę się rozplacze. Chciała cieszyć się tym, że jest kochana, ale wszystko było takie skomplikowane.

Jacob uśmiechnął się i odgarnął mokry kosmyk włosów z jej czoła.

– Nic na to nie poradzę, Jessiko. To tak jak z gradobiciem czy huraganem. Są nie do przewidzenia i nie do opanowania.

– Ja... ja też ciebie kocham – wykrztusiła patrząc mu w oczy. – Ale muszę wiedzieć, co się stało wtedy, na początku roku. Jeśli to nie Huong...

– Ona nie miała z tym nic wspólnego, Jess. To ja nie potrafiłem... – Przewrócił się na plecy i wbił wzrok w sufit – Czego nie potrafiłeś? – nalegała.

– Nie chciałem, bałem się zaryzykować – odpowiedział, patrząc jej teraz prosto w oczy. – Bałem się przyjąć cię do mojego życia. Nie chciałem zostać zraniony. Nie chciałem też zranić ciebie, bo może nie potrafię dać ci tego, czego pragniesz.

– A teraz zmieniłeś zdanie?

– Tak.

– Dlaczego? Wciąż jeszcze możemy się zranić.

– Nie wiem, dlaczego. – Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku. – Nadal się boję, ale teraz nie chcę cię już stracić. Kiepska zresztą ze mnie partia, Jess. Jestem zadłużony po uszy. Mam rodzinę i tylko Bóg jeden wie, że nie brak w niej problemów.

– Z powodu Huong?

– Nie. Ponieważ w wieku dwudziestu jeden lat, kiedy byłem młodym żołnierzem w Wietnamie, tak bardzo rozczulałem się nad sobą, że wykorzystałem młodą wietnamską dziewczynę, która mnie kochała. Była tłumaczką w naszej bazie. Mówiła znakomicie po francusku i angielsku. Pochodziła z porządnej, zamożnej rodziny i była taka delikatna i niewinna. Nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś takiego jak ona. Wszyscy oficerowie uganiaли się za nią, była piękna. Jej rodzina jednak wpoila w nią twarde zasady, więc nie chciała mieć z żadnym z nich do czynienia. Rozmawiałem z nią czasami, gdy przyjeżdżała do bazy. O wszystkim. O jej rodzime, o mojej. Wiedziała, że jestem żonaty. Naprawdę niczego od niej nie chciałem, po prostu dobrze mi się z nią rozmawiało. Może dlatego spędzała ze mną tyle czasu, bo nie uganiałem się za nią jak inni? Aż w końcu wziąłem jednak wszystko, co miała mi do zaoferowania...

– Urwał gwałtownie, opowiadanie o tym było bardziej bolesne, niż się tego spodziewał. Jessica mocniej przytuliła się do niego i czekała.

– Thomas jest w trudnej sytuacji – powiedział po chwili. – Wiesz, Huong jest

słodką i ma dobre serce, ale jest córką z nieprawego łoża, a do tego półkrwi Wietnamką. To go zdenerwowało, a do tego jest rozczarowany mną jako ojcem. Gdy tylko przyjechała, uciekł do matki, do Seattle. Ona jednak właśnie wyszła za mąż i dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie jest zainteresowana jego obecnością. Teraz chłopak uważa, że zawiódł się na obojgu rodzicach i cierpi z tego powodu. Zresztą każde z nas przeżywa to na swój sposób. Nie wiem, co robić. Przecież Huong jest moją córką, a ja nie mogę ani nie chcę się jej wyrzec.

Zadzwoił telefon i Jessica podniosła słuchawkę.

– To do ciebie – powiedziała.

– Kto to może być? Nikt przecież nie wie, że tu jestem.

– Teraz już wiesz – zauważyła, a on uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Słucham? – rzucił do słuchawki. – Co? Za co? Nie, nie. Za chwilę tam będę.

Nie, doceniam twoją troskę.

– Oddał słuchawkę Jessice i natychmiast zaczął rozglądać się za swoim ubraniem. – Do diabła z tym.

– Co się stało? – zawołała Jessica, coraz bardziej zdenerwowana.

– Thomas – odpowiedział Jacob, wciągając dzinsy.

– Thomas trafił do więzienia.

Rozdział 8

Prawdopodobnie mieli szczęście: Thomas został tylko zatrzymany, a nie oficjalnie postawiony w stan oskarżenia.

A wydawało się, że on i Huong już całkiem nieźle dogadywali się ze sobą. Jacob robił sobie wyrzuty, iż nie dostrzegł w porę, że coś się święci.

Znał siebie jednak aż za dobrze. Wiedział, że nie należy do osób o podzielnej uwadze. Nawet teraz, wiedząc, iż jego syn przebywa w więzieniu, z największym wysiłkiem zdobył się na opuszczenie Jessiki. Wspomnienie jej miękkiego, ciepłego ciała było wciąż świeże. Ciągle pragnął tulić ją do siebie, kochać się z nią.

A niech to wszyscy diabli!

– Może dowiem się wreszcie, o co chodzi? – spytał, gdy sierżant przyprowadził Thomasa. Chłopak wyglądał na mocno skruszonego, ale Jacob i tak najchętniej by go czymś zdzielił. – Co, do diabła, wyobrażałeś sobie włączając się po cmentarzu? Po co tam poszedłeś?

– Po nic, tato, naprawdę! – odpowiedział Thomas z takim przekonaniem, że Jacob mógłby przysiąc, iż nie kłamie.

– Pewnie! Tyle, że „za nic” nie wsadzają do więzienia! Przecież miałeś być w szkole... Gdzie mam się podpisać? – zwrócił się do sierżanta.

– Byłem w szkole, tato. Przez chwilę.

Policjant wskazał palcem miejsce na druku.

– Za chwilę przyprowadzą drugiego dzieciaka, panie Brenner.

– To znaczy kogo? – spytał Jacob. Sierżant zerknął w dokumenty.

– Niejaka Heidi...

– Nie znam żadnej Heidi... – przerwał mu Jacob.

– Ale, tato... – usiłował wtrącić się Thomas.

– Podała nam, że mieszka...

– Powtarzam, nie znam żadnej Heidi.

– Tato, proszę, tato... – nalegał Thomas, ciągnąc ojca za rękaw.

– Skoro pan tak mówi, panie Brenner.

– Tato!

– Co takiego?! – warknął Jacob. Nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać paplaniny Thomasa.

– Tu chodzi... chodzi o... Huong.

– Słucham? – jego głos nie wróżył nic dobrego.

– To... Huong.

– Wziąłeś z sobą Huong?! – wrzasnął Jacob. – Mój Boże, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że oboje używacie przybranych nazwisk.

– Tak. To znaczy nie, tato. Widzisz, ona chce, żeby nazywano ją Heidi, bo ty powiedziałeś, że teraz jest jedną z Brennerów, a jej zdaniem Huong Brenner brzmi nieco dziwnie. Jeśli się nad tym zastanowić, to ma rację. Ale żyjemy przecież w Ameryce. Można się nazywać, jak się chce, no nie? Nie ma problemu. Więc jeśli ona chce, by nazywać ją Heidi, to czemu nie? Czyżby ci nic o tym nie mówiła?

– Thomas!

– No wiesz, tato. Przecież to nie moja wina. Ja z tą całą historią z „Heidi” nie mam nic wspólnego.

– Wrócimy do tego później.

– Panie Brenner – przerwał im sierżant – więc jak to jest, zna pan osobę, o której mówimy?

Jacob wziął głęboki oddech.

– Huong, to znaczy Heidi Brenner... to moja córka.

– Jest pan pewien? – spytał policjant, patrząc na niego znad szkieł swoich okularów.

– Nie! – prychnął Jacob patrząc na Thomasa. – Mam dwoje nastolatków w domu. Więc czego w ogóle mogę być pewien?

Słyszając pukanie do tylnych drzwi Jessica pomyślała, że może wrócił Jacob. Znowu lało, więc pobiegła, by mu otworzyć.

W drzwiach ujrzała Sonny’ego Cooka. W służbowej, żółtej pelerynie przeciwdeszczowej prezentował się nieco dziwnie: jak ogromny, dobrze odżywiony kanarek.

– Witaj, Sonny – powiedziała, otwierając szerzej drzwi – proszę, wejdź do środka.

Jego twarz wykrzywił szelmowski uśmiech, miał taki już w wieku piętnastu lat.

– Cześć, Jessie, jak leci? Zdaje się, że od tamtej pory nie miałaś już żadnych problemów?

– Wszystko w porządku, Sonny. Z tego co wiem, nikt się tu teraz nie włóczy. Czy to służbowa wizyta?

– Coś w tym rodzaju. Chciałem się z tobą podzielić pewnymi spostrzeżeniami. Wprawdzie nie mam jeszcze raportu z laboratorium na temat tych liści i całej reszty, którą znaleźliśmy na twojej werandzie, ale zastanawiałem się, czy nie

miałaś ostatnio do czynienia w banku z jakimiś cudzoziemcami? Nie udzielałaś nikomu z nich jakiejś pożyczki czy czegoś w tym rodzaju?

– Cudzoziemcom? Nie. Poza tym ja nie mam nic wspólnego z pożyczkami. Zajmuję się inwestycjami kapitałowymi.

– I nikomu nie podpadłaś?

– Nie – odpowiedziała ze śmiechem. – W każdym razie jeszcze nie, dlaczego pytasz?

– Czy wiesz, co to takiego „deja vu”?

– Wiem, co to oznacza – odparła Jessica marszcząc czoło.

– Dobrze więc. Chcę ci tylko powiedzieć, że mam złe przeczucia. Domyślam się, co to za badyle ktoś ci podłożył...

– Sonny, nic z tego nie rozumiem.

– „Deja vu”, Jessie. Mój Boże, gdy tylko wsadziłem nos do torby z tym świństwem, poczułem się, jakbym wrócił do Wietnamu. Uwierz mi, jakbym tam był dopiero wczoraj. Ludzie są tam bardzo przesądni. Wiem, że potrafią rzucać różne zaklęcia, żeby pozbyć się...

– Ale przecież sam mówiłeś, że to jakiś rodzaj obrządku kultowego. Czy nie tak to przedstawiałeś podczas wieczorku w Klubie Rolnika?

– Tak, ale wtedy jeszcze nie badałem tych liści. Szczerze mówiąc, jeśli jesteś pewna, że nie obraziłaś żadnego Wietnamczyka, to naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim sądzić i kto może być za to odpowiedzialny.

Jessica przestała słuchać. Orzechy, liście i świece były elementem jakiegoś wietnamskiego rytuału?

– Słucham? – spytała spostrzegając, że Sonny zadał jej jakieś pytanie i czeka na odpowiedź.

– Prosiłem, żebyś mnie zawiadomiła, jeśli coś ci się skojarzy, dobrze?

– Tak, oczywiście, że cię powiadomię.

– Nie chciałem cię niepotrzebnie martwić, ale po prostu uważam, że na wszelki wypadek powinnaś o tym wiedzieć. Wiesz, co mam na myśli – żebyś uważała na siebie. Masz też porządnie zamykać drzwi, słyszysz?

Słyszała, ale wiedziała już, kto odwiedzał jej werandę, więc nie sądziła, by zamykanie drzwi na klucz było potrzebne.

Mogła to być tylko Huong.

Nikt inny, tylko Huong, która odnalazła swego ojca, stała się częścią rodziny. Musiała czuć się bardzo wyobcowana w nowym otoczeniu. Na pewno myśli, że zagraża jej każda nowa osoba, która pojawia się w życiu Jacoba.

Jessica wydała z siebie głębokie westchnienie. I co teraz? Ledwo zaczęli rozwiązywać swoje problemy, a tu pojawiał się już nowy, i to taki, o którym Jacob prawdopodobnie jeszcze nie wiedział.

Nie miała pojęcia, co robić. Jedno tylko było pewne. Nie będzie siedzieć bezczynnie, ostatnio zbyt często jej się to zdarzało. Od odjazdu Jacoba minęło niewiele czasu. Może zdąży podjechać do jego domu i porozmawiać z Huong?

Po pożegnaniu Sonny'ego w pośpiechu rozejrzała się za swoją torebką. Wyjeżdżała z tylnego podwórza i mijала właśnie front domu, gdy nagle z całej siły wcisnęła hamulec. Nie wyłączając silnika wyskoczyła z samochodu i wbiegła na werandę. Na środku kupki liści, orzechów i patyczków królowała samotnie wypalona świeca.

Rozdział 9

Między drogą a domem Jacoba ciągnął się kawał leżącego odłogiem pola. Jessica ostrożnie skręciła w wyboistą dróżkę i powoli podjechała do kępy drzew, pośród których skrywał się dom i zabudowania rodziny Brennerów. Łało nadal jak z cebra, postanowiła więc jeszcze przez chwilę nie wysiadać. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów bytności domowników.

Wokół panowała absolutna cisza. Żadnego światła, najmniejszego ruchu. Wysiadła z samochodu i mocno zapukała najpierw do tylnych, a potem frontowych drzwi. Jeśli Huong była w domu, najwyraźniej postanowiła nie otwierać.

Jessica, zniecierpliwiona, przystanąła na chwilę na werandzie. Zastanawiała się, co dalej robić. Mogła oczywiście poczekać. Nie wiedziała jednak, w jakie tarapaty wpadł Thomas, a nie chciała swoją obecnością utrudniać i tak już skomplikowanej sytuacji. Nie przypuszczała, że chodzi o coś poważnego, Thomas był grzecznym chłopcem. Musiała jednak koniecznie porozmawiać z Huong i wyjaśnić dziewczynie, że uczucia, jakie żywi dla Jacoba, nie stanowią najmniejszego zagrożenia dla jej stosunków z ojcem.

Nieoczekiwanie problem sam się rozwiązał w chwili, gdy na horyzoncie pojawiła się ciężarówka Jacoba.

Kilka minut później wysiedli z niej Huong i Thomas i, powłócząc nogami, ruszyli w stronę budynku. Natychmiast zauważyła, jak bardzo wszyscy są zdenerwowani. Szczególnie Jacob. A teraz ona miała przysporzyć mu jeszcze więcej zmartwień.

Jacob zauważył ją dopiero wchodząc na werandę.

– Jess? Co się stało? – spytał, wyciągając do niej rękę. Choć nawet jej nie dotknął, natychmiast powróciło wspomnienie ich niedawnego zbliżenia. Tak bardzo go kochała i chciała być blisko niego... Z trudem odsunęła od siebie wszelkie tego typu myśli. Nie chciała kłamać.

– Muszę pilnie porozmawiać z Huong, Jacobie – odparła zerkając na dzieci. Były równie przygnębione jak ona.

– Z Huong? – spytał zdziwiony.

– Tak, w tej sprawie – powiedziała, pokazując trzymaną w dłoni papierową torebkę.

– A co to takiego? – zdumiał się Jacob biorąc z jej rąk garstkę liści, które wyjęła z torebki.

– Wiedziałem! – wybuchnął nagle Thomas. – A więc jednak znów je tam położyłaś! Próbowałem – wślizgnąć się na ganek Jessiki, by to sprawdzić, ale cały czas była w pobliżu.

– Mówiłam ci, że nie wolno tego niszczyć! – rozplakała się Huong. – To przynosi nieszczęście! Mówiłam ci przecież.

– O czym wy mówicie? Co to za śmieci? – zawołał zdesperowany Jacob.

– Ja mu powiem – oświadczył Thomas.

– O nie – zaprotestowała Huong – to ja powinnam...

– Dość tego! Ja to zrobię. Przecież on nic nie zrozumie, kiedy zaczniesz mu wyjaśniać tę historię z Władcą Jadeitu, Wiktorem Hugo i Fundacją imienia Pearl S. Buck.

– O czym wy gadacie?

– Ona naprawdę nie chciała zrobić nic złego, tato.

– Dość tego! Macie natychmiast wejść do środka! – krzyknął Jacob i otworzył drzwi, przepuszczając dzieci przed sobą. Jessica zawahała się przez moment, ale on położył rękę na jej ramieniu i popchnął leciutko w kierunku wejścia.

– Siądziemy wszyscy przy kuchennym stole – powiedział, zwracając się do Huong i Thomasa. – Wy będziecie opowiadać, a my z Jessiką będziemy słuchać.

– Tato – zaczął Thomas – to nie jest tak jak myślisz.

– Synu, wiesz, że igrasz z ogniem? Tym razem nieco przeciągnąłeś strunę. Na razie nic jeszcze nie myślę.

– Po prostu ja chcę to powiedzieć.

– Thomas, to nie ty powinieneś się tłumaczyć – za- wołała Huong. – To wszystko moja wina. To ja się pomyliłam. Ja... ja nie chcę, żebyś się złościł, ojcze.

– Na to już nieco za późno – wycedził Thomas przez zęby. – Tato... – dodał już głośno. – Ona... Jej się po prostu wydawało, że w Dzień Matki szuka się matki, a ona zawsze zabezpiecza się na wszelkie ewentualności..

– Jakie ewentualności, na litość boską?

– No cóż – odparł Thomas z namysłem. – Są to co najmniej trzy różne religie. Może nawet cztery, nie jestem tego pewien. Do tego dochodzi jakaś międzynarodowa fundacja i agencja rządowa – dodał, zliczając wszystko na palcach. – Żebym tylko wiedział, jak do tego wszystkiego ma się *cay neu*? – Co takiego?

– *Cay neu*.

– Thomas, nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

– Właśnie staram ci się to wyjaśnić.

Zdecydowanym ruchem Jacob uniósł obie dłonie do góry.

– Siadaj. Wszyscy siadajcie. Jessiko, zupełnie nie wiem, co się tutaj dzieje. – Odczekał chwilę, aż wszyscy zajęli swoje miejsca. – Dobrze więc. Zacznijmy od tego: powiedzcie mi, czego oboje szukaliście na cmentarzu?

– Zmusiłem ją, by zdjęła zaklęcia z przodków Jessiki! – zawołał Thomas, zdumiony, iż jeszcze tego nie pojęli.

– Thomas!

– Gzy mogłabym się wtrącić? – przerwała im Jessica. – Może ja to wytłumaczę.

– *Zaręczyłam* was, tato. Ciebie i Jessikę – powiedziała nagle Huong cichutkim głosem.

– Co takiego? – zawołali jak na komendę Jessica i Jacob.

– A nie mówiłem? – zauważył Thomas.

– Przykro mi, ojcze.

– Huong – powiedział Jacob. – Przecież mówiłem ci już wcześniej. Zawsze możemy z sobą porozmawiać. Zacznijmy od początku.

Huong zerknęła na brata.

– A czy Thomas będzie mógł mi pomóc?

– Thomas jest wątpliwą pomocą, ale jeśli będę potrzebował dodatkowych wyjaśnień, sam go o to poproszę – oznajmił Jacob tonem nie znoszącym sprzeciwu, zauważył bowiem, że jego syn już otwiera usta, aby coś powiedzieć.

Huong zaczerpnęła głęboko powietrza i popatrzyła najpierw na ojca, potem na Jessikę i znów na ojca.

– Chciałam uczynić cię szczęśliwym, ojcze.

– Czy uważasz, że wyciągnięcie was z więzienia może mnie uszczęśliwić?

– Nic nie rozumiesz.

– Masz rację. Dlatego też postaraj się wszystko wyjaśnić.

– To nie będzie takie proste.

– Mamy dużo czasu.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Huong wydała z siebie głębokie westchnienie i zaczęła od nowa.

– Byłeś wtedy... niezbyt szczęśliwy, tato – powiedziała – a mnie... a mnie pomyliły się święta.

– Dalej... – naciskał Jacob.

– Wiem, jak obchodzi się nasze święta w Wietnamie, ale nie znam waszych zwyczajów, więc w miesiącu Tet, to znaczy w lutym – wyjaśniła, starając się nie przekreślić słowa – postawiłam Jessice „cay neu”, żeby zdobyć dla ciebie jej

przychylność.

– Dla mnie? Skąd wiedziałaś cokolwiek o Jessice?

– Słyszałam, jak ty i Thomas kłóciliście się. Słyszałam, jak mówił, że przestałeś się widywać z Jessiką z mojego powodu.

– To nieprawda, Huong. Powiedziałem Thomasowi...

– Wiem. To również słyszałam. Ale i tak nie byłeś szczęśliwy. Pomyślałam sobie, że Jessica może uczynić cię szczęśliwym, ale ty do niej nie wracałeś. Siedziałeś tu cały czas i pracowałeś. W drodze do Silk Hope lub do Siler City zawsze spoglądałeś w kierunku jej domu; twoja twarz była smutna, gdy jej nie widziałeś, a jeszcze smutniejsza, gdy ją widziałeś. Wydawało mi się, że potrzebujesz pomocy, tak jak ja wtedy w Wietnamie, gdy zmarła moja mama. Trzeba było wielu modlitw, abym znalazła się tutaj z wami, ale się udało. Zaczęłam więc odmawiać pierwsze z wielu modlitw w twojej i Jessiki intencji.

Ustawiłam *cay neu*, żeby odpędzić złe duchy. A później nadszedł Dzień Świstaka. W telewizji mówili, że tego dnia wszyscy ludzie szukają świstaków, więc pomyślałam sobie, że w takim razie ja poszukam sobie mamy w Dniu Matki. Wybrałam Jessikę, bo wiem, że ją kochasz.

– Dalej – wycodził Jacob.

– Dopiero Thomas wyjaśnił mi, że mamy się nie – szuka, tylko czci tę, którą się ma. Trudno mi wyjaśnić, jak właściwie wyobrażałam sobie Dzień Matki, skoro nawet nie wiem, co to takiego świstak, ale kiedy się dowiedziałam, było już za późno. Zdażyłam to zrobić.

– To znaczy co?

– Złożyłam ofiarę przed domem Jessiki.

– Na frontowej werandzie – wyjaśnił Thomas.

– Tak – przytaknęła Huong patrząc kątem oka na Jessikę. – Właśnie tam złożyłam ofiarę w intencji zaręczyn, bo przecież jestem najstarszą z waszych żyjących krewnych.

– A co ty robiłaś w tym czasie? – zwrócił się nagle Jacob do Thomasa.

– Ja? – odpowiedział chłopak zdziwiony. – Nic.

– Tato, Thomas wyjaśnił mi wszystko dopiero potem. Powiedziałam mu o wszystkim dopiero wtedy, gdy zorientowałam się, że pokręciłam wszystko z Dniem Matki. Thomas powiedział, że Jessica przełęknie się nie wiedząc, co to takiego i po co. Postanowiliśmy więc wszystko szybko zlikwidować. Również po to, aby ludzie nie pomyśleli sobie, że mają do czynienia z jakimiś... pogańskimi... tajemnymi... wyznawcami szatana czy czymś w tym rodzaju. Ale spóźniliśmy się.

Zanim dotarliśmy na miejsce, ofiara zniknęła. Udało się nam tylko z przodkami. Thomas miał chyba rację, bo na wieczorku w Klubie Rolnika Sonny Cook opowiadał o działalności jakiejś tajnej sekty w Okręgu Chatham.

– Czy Sonny wie, co zrobiłaś? – to pytanie skierowane było do Huong, ale Jacob popatrzył na Jessikę, – która przecząco pokręciła głową. – A co to za historia dziś na cmentarzu?

– Nie wolno niszczyć ofiary, ojciec. To przynosi nieszczęście. Położyłam wszystko z powrotem na miejsce, kwiaty i te inne rzeczy. Ja tylko chciałam, by przodkowie Jessiki wiedzieli, że wciąż jeszcze potrzebujemy ich pomocy. Domyślałam się, że Thomas musiał być tym mocno zaniepokojony.

Jacob spojrział na syna, który zaczął przewracać oczami, aby opisać stres, jaki przeżył.

– A potem przyjechał zastępca szeryfa – uzupełniła Huong. – No a dalej sami już wiecie, co się stało.

– Rozumiem – mruknął po chwili Jacob.

– Naprawdę rozumiesz? – ucieszył się Thomas.

– Zdziwiałeś, nieprawdaż? – odparował Jacob. – Wracajcie teraz do swoich zajęć. Chcę porozmawiać z Jessiką.

– I to naprawdę wszystko? Nie będzie krzyków ani kazań?

– Nie, to jeszcze nie wszystko! Muszę to sobie najpierw przemyśleć. Powinniście byli przyjść do mnie, gdy zorientowaliście się, że macie kłopoty. Teraz natomiast proponuję, żebyście zmyli się stąd i nie kusili losu.

– Jak sobie życzysz, tato! – zawołał Thomas z wyraźną ulgą. – Chodź Heidi, słyszałaś, co staruszek powiedział.

Ale Heidi miała jeszcze coś do dodania.

– Jessiko, chcę, żebyś wiedziała, że naprawdę nie chciałam cię przestraszyć.

– Wiem o tym – uśmiechnęła się Jessica.

– Nie będziesz się więc złościć na mojego tatę?

– Nie, nie będę.

– To dobrze – odetchnęła dziewczyna. – Tato, jest jeszcze jedna sprawa.

– Co takiego?

– Czy możesz mnie nazywać Heidi?

Jacob miał już odpowiedź na końcu języka, ale powstrzymał się i powiedział:

– Postaram się.

– No to dobrze – stwierdziła Huong i pobiegła za bratem.

Kilka minut później w pokoju na tyłach domu wyła na cały regulator muzyka z

aparatury stereo.

Jessica popatrzyła na Jacoba poprzez dzielący ich stół, a on westchnął i pokręcił głową.

– Zupełnie nie wiem, co powiedzieć, Jess. Słyszałem część z tego, co opowiadał Sonny podczas tamtego wieczorku. O świecach, liściach i orzechach. Ale nie miałem pojęcia, że to wszystko znaleziono na twojej werandzie. Musiałaś się nieźle wystraszyć.

– No cóż, wtedy jeszcze nie wiedziałam, że przodkowie mają jakiś wpływ na moje życie.

– Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

– Były inne sprawy, o których musieliśmy porozmawiać. Zresztą aż do dzisiejszego popołudnia nie miałam pojęcia, że Huong jest w to zamieszana. – Pokrótce streściła mu przebieg wizyty Sonny’ego.

– Doceniam, że nie powiedziałaś mu o swoich podejrzeniach. Jeśli pozwolisz, sam mu to przekażę. Wcale się nie zdziwię, jeśli nie będziesz chciała mieć z nami nic wspólnego. Na twoim miejscu – nieźle bym się na nich wkurzył, ale... – westchnął tylko.

– Zmartwiłam się sądząc, iż Huong chce nas rozdzielić. Teraz, gdy wiem, że chodziło jej o coś wręcz przeciwnego, no cóż... wszystko jest w porządku.

– Naprawdę? – spytał, starając się wyczytać potwierdzenie w jej oczach.

– Naprawdę – zapewniła go.

Był taki zmartwiony, że szybko przestawiła krzesło i usiadła obok niego. Objęła go, przytuliła i cmoknęła w policzek.

Jacob oparł głowę na jej ramieniu.

– Przez te dzieciaki jeszcze kiedyś zwariuję.

– Może nie będzie aż tak źle – pocieszyła go żartobliwie.

– Wiedziałem, że coś się dzieje, ale nie zainteresowałem się tym bliżej. Jak, do Ucha, mam wyjaśnić Sonny’emu Cookowi całą tę historię z Władcą Jadeitu czy Wiktorem Hugo?

– Po prostu powiedz mu, że zostaliśmy zaręczeni. Dwukrotnie – zaproponowała Jessica.

Jacob wydał z siebie coś w rodzaju chichotu.

– Chyba tak zrobię. Skoro zamieszane są w to aż trzy religie, międzynarodowa fundacja i Bóg tylko raczy wiedzieć, kto jeszcze, łatwiej będzie pozostać przy tych zaręczynach niż się z nich wyplątać.

Spojrzał jej w oczy.

Jessica pomyślała, że to cały Jacob. Zarówno przeprosiny, jak zaręczyny były mocno zawoalowane.

– Ludzie będą gadali – przypomniała mu, że i tak już wszyscy nadmiernie interesują się nimi i ich romanssem.

– Przeżyję to – odparł lekceważąco machając ręką.

– A więc. Chcesz za mnie wyjść?

– A dlaczego niby miałabym chcieć? – spytała postanawiając, że choć trochę musi utrudnić mu sprawę.

Uśmiechnął się nie spuszczając z niej wzroku. Wyciągnął dłoń i delikatnie pogładził ją po policzku, muskając kciukiem usta.

– Dlatego, że cię kocham, Jess. I ty mnie kochasz.

– przybliżył twarz do jej twarzy. – Czy tak nie jest?

– spytał całując ją namiętnie. Poczwała, jak miękną jej kolana.

– Czyż nie tak? – nalegał, znów szukając jej ust.

– Tak! – przyznała wreszcie, przytulając się mocno do niego. Gdy raz podjęła decyzję, wszystko stało się nagle takie proste. Był przy niej i nie chciała, by cokolwiek się zmieniło.

– Hej – powiedział nagle z błyskiem w oku, sięgając do kieszonki koszuli – chcesz z powrotem swoje klamerki do bielizny?

– Nie. Moje klamerki są twoimi klamerkami.

–

Rozdział 10

Był już późny poranek, gdy Jessica otworzyła oczy. Obudziły ją dochodzące z dołu hałasy. Zazwyczaj nie nocowała w sypialni na piętrze, zajęło jej więc nieco czasu zorientowanie się, gdzie jest i skąd dochodzi ten cudowny zapach świeżo parzonej kawy.

Wreszcie przypomniała sobie. To Huong ciężko pracowała, aby przygotować wszystko jak należy.

Spojrzała na stojący obok mały, podróżny budzik, który wzięła z sobą na górę. Miała jeszcze chwilę czasu. Przymknęła oczy – nie po to, by spać, lecz by rozkoszować się ciszą majowego niedzielnego poranka. Za oknami słyszała świergot ptaków, a z kuchni dochodziło ciche podśpiewywanie Huong.

Jessica westchnęła z zadowoleniem. Wiele bólu i wysiłku kosztowało ją uporządkowanie własnego życia i teraz chciała się tym cieszyć. Choć była nawet podwójnie zaręczona, nie pozwoliła sobie na pochopną decyzję w sprawie małżeństwa. Nie dlatego, że nie była pewna swych uczuć do Jacoba. Wręcz przeciwnie. Kochała go i była pewna, że i on ją kocha. Czuła jednak, że Jacob musi najpierw uporać się z problemami, które do tej pory zaprzętały mu głowę. Wraz z pojawieniem się jego wietnamskiej córki wszystkie głęboko skrywane uczucia związane z pobytem w Wietnamie odżyły na nowo.

Podczas ferii zimowych, w okresie świąt Bożego Narodzenia, ona, Thomas i Huong pojechali wraz z Jacobem do Waszyngtonu, do mauzoleum żołnierzy poległych podczas wojny w Wietnamie. Sądziła, że jest to ostatnie miejsce, do którego Jacob zechce pojechać.

Dzień był mroźny, drzewa dawno straciły wszystkie liście. Wprawdzie świeciło słońce, ale wiał bardzo ostry wiatr. Gdy zbliżali się do długiego, czarnego marmurowego pomnika, który wydawał się być częścią ziemi, na której stał, Jacob ujął ją za rękę, a ona z wdzięcznością objęła jego ciepłe palce. Tępy ból niemal rozsadzał jej skronie – tak bardzo bała się go stracić.

Nic takiego jednak się nie stało. Wyglądało na to, że widok mauzoleum, odnalezienie na płycie pamiątkowej nazwisk poległych kolegów, przydały jego przeżyciom właściwych proporcji, i że był wreszcie w stanie stawić im czoło. W ciągu kilku następnych tygodni Jacob sam skontaktował się z jedną z wielu grup wzajemnej pomocy weteranów wojny wietnamskiej i zaczął regularnie uczęszczać na jej spotkania. Po pewnym czasie, gdy uznał, że jest już w stanie o tym mówić,

zaczaj zabierać na nie Jessikę.

Jessica raz jeszcze spojrzała na wskazówki zegarka i szybko wyskoczyła z łóżka. Dzisiaj nie chciała się spóźnić. Miała za sobą długą, ciężką drogę i nic nie powinno popsuć tego dnia.

Wychodziła wreszcie za mąż. Dzisiaj, w Dniu Matki. Może nie był to typowy dzień na wesele, ale dla niej jak najbardziej odpowiedni. Tym razem nie było mowy o „jeżynowej zimie”, takiej jak w ubiegłym roku. Dzień był ciepły i wyjątkowo piękny, a na frontowej werandzie znów pojawiły się liście betelu, świeczki i orzechy areca.

Jessica wzięła szybki prysznic, a kiedy wyszła z łazienki, znalazła na stoliku tacę ze śniadaniem. Uśmiechnęła się. Huong nie szczędziła sił, żeby wszystko wypadło jak najlepiej.

Pospiesznie zjadła i ubrała się. Zostało już tylko kilka minut. Słyszała, jak zaczynają zjeżdżać się pierwsi goście, i podeszła do okna. Przed domem zobaczyła Thomasa, ubranego w nowy garnitur, krawat i z kwiatem w butonierce, umiejętnie kierującego poszczególne samochody na miejsca parkingowe.

Z pewnością dzieci Jacoba dobrze wypełniały powierzone im zadania.

Ktoś szybko wchodził po schodach. Po raz ostatni zerknęła w lustro.

– Jessica? – usłyszała pełen napięcia głos Huong. – Jesteś gotowa? Ach, jak pięknie wyglądasz.

– Dziękuję ci, Huong. Ty również.

– Ani ona, ani Jacob nie potrafili przemóc się, by nazywać ją Heidi, ale dziewczynie to najwidoczniej nie przeszkadzało.

– Przyjechał już duchowny. Powinnaś już zejść na dół. Przygotuj się na widok taty w garniturze. Wygląda wspaniale.

– Poczekaj – poprosiła Jessica, gdy Huong odwróciła się do drzwi. – Chcę ci coś jeszcze powiedzieć.

– Tak?

– Chciałam ci po prostu... podziękować za wszystko, co zrobiłaś. Za śniadanie. Za wszystkie modlitwy. Nie wiem, co poczęlibyśmy bez ciebie.

Twarz Huong rozjaśnił uśmiech, tak bardzo podobny do uśmiechu Jacoba.

– Thomas pomagał mi dzisiaj przygotować ofiarę dla bogów.

– Naprawdę? – spytała Jessica odwzajemniając uśmiech. Była zaskoczona, jak dobrze Thomas sobie radzi z pogańskimi świętymi.

– Ależ tak. Nie musicie się więc o nic martwić. Wszystko zostało

przygotowane, aby zapewnić wam szczęście i powodzenie. I widzisz? Miałam jednak rację. Czasami można jednak znaleźć matkę w Dzień Matki, chociaż zabiera to nieco więcej czasu. Bądź tak dobra i pośpiesz się, dobrze? Tata jest strasznie przejęty, a Thomas narzeka, że uwiera go kołnierzyk. Jeszcze chwila, a mój brat pęknie.

– Chyba wyzionie ducha – poprawiła ją ze śmiechem Jessica, która od samego rana słyszała dochodzące z dołu pogróżki.

– Być może to również – zgodziła się Huong wychodząc.

Jessica podążyła za nią, zatrzymując się na moment u szczytu schodów. Dom był pełen mieszkańców Silk Hope, ludzi, którzy znali ją od dziecka i przyszli złożyć jej i Jacobowi życzenia wszystkiego najlepszego. Uśmiechnęła się do nich schodząc razem z Huong, a gdy dotarła na dół, mocno uścisnęła rozradowanego, choć nieco podduszonego Thomasa.

Jacob czekał na nią przy wejściu do salonu. Świeżo ogolony, ostrzyżony i ubrany w nowy garnitur.

Mój Boże, pomyślała. Był naprawdę przystojnym mężczyzną, szczególnie dzisiaj. Z uśmiechem podał jej rękę. Jego oczy wciąż jeszcze były smutne, ale nie miały już wyrazu oczu ściganego zwierzęcia.

– Drzewka brzoskwiniowe wyglądają całkiem nieźle – szepnął do niej, gdy wolnym krokiem zbliżali się do duchownego. – Przepięknie wyglądasz, Jess. Kocham cię – dodał na tyle głośno, że stojący najbliżej nich goście roześmieli się i rozległy się oklaski.

– Ja ciebie też kocham – odparła Jessica całując go czule.

– Jake! Jessie! Może wreszcie przestaniecie! – strofował ich duchowny. – Najpierw ślub.

Jessica roześmiała się i mocno ścisnęła Jacoba za ramię. Była to najlepsza propozycja, jaką kiedykolwiek słyszała. Co za wspaniały Dzień Matki!